Nr. 209. Lwów — Piątek dnia 11 Września. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . 4 ct.
na prowincyi . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jako to zaręczyny, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct. w Niemczech 1 „ 60 „ w innych państwach 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: Wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct. w „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo tłustym petitem po . . . Korespondencye prywatne za każde słowo . . . Nadesłane na trzeciej stronicy: . . . Ogłoszenia przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: św. Jacka i Prota | Aleksandra | Jutro: św. Gwidona | Pol. Poj. P. B. | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI. | Wschód słońca g. 5 m. 38, Zachód „ 6 „ 14 | Długość dnia g. 12 m. 36, Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 10 września.

Dzienniki zachodnio-europejskie stanowczo utrzymują, że podczas zjazdów monarszych w Wiedniu i Wrocławiu zapadły na konferencyach dyplomatycznych jakieś uchwały w sprawie tureckiej. Dzienniki angielskie utrzymują nawet, że w Wiedniu ułożono program postępowania, który natychmiast sankcyonowali obaj monarchowie, a dyplomacya niemiecka była przy układaniu programu reprezentowana przez ambasadora hr. Eulenburga. A dalej te dzienniki piszą, że od wypadków w Konstantynopolu zależy czy prędzej lub później przesłane będą mocarstwom propozycye wynikające z tego programu. Przesłać je ma gabinet wiedeński. Zgodzono się na utrzymanie status quo na Wschodzie, ale ono będzie trochę nominalne. Wiadomo oddawna, że Rosya dla swych własnych powodów jest dziś przeciwna wszelkiej stanowczej zmianie w Turcyi, czy to ze względu na osobistość sułtana, czy też co do granic tureckiego państwa. Tak naprzykład jeżeli Kreta zgodzi się na rząd autonomiczny, na jaki sułtan się zgadza, Kreta nominalnie będzie prowincyą turecką, w rzeczywistości zaś pod względem administracyi, finansowym, wymiaru sprawiedliwości i prawodawstwa będzie samodzielną. Konferencya wiedeńska sięgnęła nawet głębiej w kwestyi wschodniej, aniżeli tylko do Krety. Postanowiła ona poprawić wewnętrzne warunki bytu Turcyi, nie dotykając jednak zewnętrznego stanowiska sułtana.

Krytycy, a do tych głównie Anglicy należą, twierdzą, że podobne reformy bez zreformowania głównego organu państwa i nieładu, do celu nie doprowadzą. W roku zeszłym Anglia tego samego żądała, ale sułtana oszczędzała dalsko wówczas. Wówczas w stanowczej chwili Rosya i Austrya cofnęły się i projekt przez to został obalony.

Dzienniki nie podają szczegółów nowego programu konwencyi, wrzekomo napisanej i sankcyonowanej w Wiedniu. Nie wiadomo, czy reforma ma być czemś w rodzaju opieki także nad sułtanem, który jako kalifem, stróżem miejsc świętych Mekki i Medyny etc., jak dotąd, panowałby nad Turcyą, ale co do rządów byłby małoletnim, pozostającym pod opieką. Nie wiadomo dalej, czy reforma ta mogłaby być przeprowadzona siłą oręża, czy też ta siła byłaby wyłączną. Półurzędowe dzienniki austryackie i węgierskie mówią otwarcie o zabraniu się do systemu dyplomatycznie, w celu uzyskania stanowczych reform. Fremdenblatt napisał, że „sułtan musi wstąpić na nowe tory", a potem oświadczył, że tak Austrya jak Rosya, najzupełniej są zgodne w ocenianiu wszelkich zdań względem terytoryalnych zmian na Wschodzie, muszą jednak jak najsilniej domagać się reform. Do tego, że finansiści są pełni najlepszej woli i dowodzą, że papiery na tureckich rynkach bardzo się cenią, to tureckie papiery pójdą niezmiernie w górę, ponieważ administracya finansów tureckich przejdzie w inne ręce, dające wszelką rękojmię. Być może, iż do dyplomatycznego dodany będzie także finansowy nadzór. Byłoby to koniecznem, pod kontrolą rady wszystkich, albo wybranych tylko mocarstw. Pester Lloyd nie waha się grozić Turcyi zbrojną interwencyą, a te węgierskie pogróżki wcale nie byłyby pustymi. Gdyby do takiej interwencyi przyjść miało, koncentrowane siły zbrojne Stambułu, sforsowanie cieśnin, to jest użycie siły in optima forma, a to jest nieprawdopodobne.

Przypuszczalna wiedeńska umowa nie zrobiła przyjemnego wrażenia w Londynie. Widzą tam w niej ostatni wprawdzie, ale najdotkliwszy zsad dany Anglii przez księcia Łobanowa. Standard z tego powodu pisze: „Sens tego wszystkiego ostatecznym jest, że jak w sprawie kreteńskiej poglądy Anglii uznano w końcu za najlepszą metodę rozwiązania trudności, tak teraz takie same poglądy przyjęte zostały przez mocarstwa najbardziej Anglii nieprzychylne i przeciwne. W ten sam sposób pierwsza idea lorda Salisburego, jak sobie radzić z Turcyą i sułtanem, musi być zalecona wszystkim gabinetom stałego lądu jako najpraktyczniejsza i konieczna, z tą tylko różnicą, że nie Anglia, ale Rosya będzie wodzirejem koncertu europejskiego ku najlepszym następstwom dla politycznych interesów i całości planów Rosyi. Tę różnicę jednak Austrya najpierwsza i to dobrze pocznie."

Wizyta carska we Wrocławiu dała powód rządowym organom niemieckim aż do dwóch sprostowań. Pierwsze dotyczyło toastu carskiego i przyznać trzeba, że nie wyjaśniło zupełnie sprawy i nie wpoiło w ludność Niemiec pewności, co właściwie car powiedział: czy, że ożywiony jest temi samemi tradycyjnemi uczuciami, co jego ojciec, Aleksander III, czy też temi, co Wilhelm II. Jakkolwiek bowiem Reichsanzeiger dodatkowo sprostował, że Mikołaj II zapewniał, iż jest ożywiony temi uczuciami, co cesarz niemiecki, to jednak wiele do myślenia daje ta okoliczność, iż nietylko berlińskie dzienniki bezpośrednio z urzędowego biura telegraficznego otrzymały depesze z toastem carskim w owej pierwotnej, mniej przyjemnej stylizacyi, ale że także i dzienniki miejscowe, do których należą i dzienniki Wrocławskie, w którem fakt ten się zdarzył, we Wrocławiu tak samo ten toast podały, a przecież z palca wyssać go nie mogły. Drugie sprostowanie dotyczy artykułu powitalnego półurzędowej Nord. Allg. Zeitung. Wszystkie dzienniki na podstawie również oficyalnych depesz doniosły, że w artykule tym był ustęp taki: „W poszanowaniu wzajemnych interesów pokojowych nic nie przeszkadza ani Niemcom, ani Rosyi, jestto szacunek silnego dla silniejszego, idący w parze z sąsiedzką życzliwością".. Otóż to przyznanie półurzędowego organu, że Niemcy uważają Rosyę za silniejszą musiało niejednego Niemca niemile dotknąć, dziś więc prostuje berlińskie biuro Wolffa, że to w urzędzie telegraficznym przekręcono tekst depeszy, gdyż ów ustęp ma brzmieć: „jestto szacunek silnego dla silnego"...

Epilogi. — Hr. Kapnist.

Piszą nam z Wiednia, 9 września:

Według wygłoszonego w Zgorzelicach przez cesarza Wilhelma epilogu, zjazd wrocławski zapowiada skupienie się wszystkich narodów europejskich celem obrony „naszych dóbr najświętszych". Jak wiadomo, myśl tę nibyto wyjaśnia znany obraz, wymalowany przez berlińskich malarzy nadwornych według rysunku cesarza Wilhelma. Alegoryczne postacie żeńskie wielkich mocarstw, uzbrojone w hełmy, tarcze i dzidy, stają na tym obrazie obok siebie do wspólnej obrony Europy od Azyi. Na prawdę trudno dziś dostrzedz śladów grożącego Europie od wschodnich kończyn Azyi niebezpieczeństwa. Niepodobna przypuścić, aby Chiny, pobite na głowę przez Japonię, zabierały się do napadu na Europę. Na odwrót Japonia tak mało myśli o takim napadzie, że przeciwnie, przyswaja sobie nawet w zbyt szybkim tempie wojskowe i cywilne instytucye europejskie. W braku rzeczywistego niebezpieczeństwa, grożącego Europie od Azyi, jak niegdyś od Persów, później od Tatarów, a nakoniec od Turków, rzekoma solidarność Europy jest mrzonką. Na teraz pokojowi Europy zagrażają tylko zaborcze żądze niektórych mocarstw, a historycznemu ładowi społecznemu grożą prądy socyalistyczno-komunistyczne, w których niezawodnie możnaby się dopatrzeć pewnego pierwiastku azyatycko-turańskiego, sprzężonego z indywidualizmem narodów szczepu aryjskiego, tudzież z cywilizacyą chrześcijańską. Jeżeli cesarz Wilhelm wczoraj miał na myśli te rzeczywiste niebezpieczeństwa, to niezawodnie zgoda i solidarna obrona jest bardzo potrzebna.

Potrzeba jednak na to wielkiego optymizmu, aby po wizytach pary carskiej w Wiedniu i we Wrocławiu dopatrzeć się w tym względzie pewnych rękojmij. Młody car, przynajmniej publicznie, nie wypowiedział ani słowa, któreby wspierało takie przypuszczenie. Jego przemowy wiedeńska i wrocławska (w obu wydaniach) zawierają tylko minimum tego, co musiał powiedzieć, aby nie naruszyć wprost przepisów internacyonalnej i dworskiej grzeczności. Epilog zaś urzędowego dziennika petersburskiego usiłuje te zjazdy wystawić jako szczególną łaskę dworu rosyjskiego, która „narody, pozostające pod berłem Habsburgów", tudzież naród niemiecki, wprawiła w największy zachwyt *). Jest to ten sam styl urzędowo-rosyjski, który popłacał przed stu laty i który do niedawna *pro foro interno* bywał używany także w Turcyi. Car, względnie sułtan, w tym stylu wschodnim występują jako rozjemcy Europy, która drży przed ich potęgą i z należytą wdzięcznością przyjmuje wszelki uśmiech uprzejmości i łaski! Słowem, jeżeli ostatnie zjazdy nie wydadzą dotykalniejszych owoców, jak ten fantastyczny, krasomówczy epilog cesarza Wilhelma i ten śmiesznie dumny epilog petersburskiego dziennika urzędowego, natenczas pozostaną epizodem bez wszelkiego znaczenia dla realnej polityki europejskiej.

Według ostatnich doniesień, zdaje się być rzeczą prawdopodobną, że hr. Kapnist zostanie następcą Łobanowa. Hr. Piotr Kapnist urodził się 1839 r. w Połtawie, za młodu służył w ministeryum spraw zagranicznych, potem był attaché ambasady rosyjskiej w Rzymie, od 1874 do 1884 radzcą ambasady w Paryżu, równocześnie z hr. Gołuchowskim, który do r. 1887 był radzcą paryskiej ambasady austro-węgierskiej. Następnie sprawował urząd posła rosyjskiego w Hadze, w r. 1885 brał udział w berlińskiej konferencyi do uporządkowania spraw afrykańskich (Kongo), od r. 1892 przebywał w swych dobrach w południowej Rosyi. Ożenionym jest z szwedzką hrabianką Steinbock-Fermore. Mianowany w r. z. następcą ks. Łobanowa, 24 maja r. 1895 wręczył Cesarzowi Franciszkowi Józefowi listy uwierzytelniające. Z czasu swego pobytu w Paryżu zachował liczne i ścisłe związki z tamtejszemi kołami urzędowemi, ale także z arystokracyą orleanistowską. Jest on uważany jako główny powiernik myśli Łobanowa, których wiernym będzie wykonawcą. Jest to równie gładki dyplomata, jak zmarły kanclerz, który tak samo zręcznie frazesami o zamiłowaniu pokoju, cywilizacyi europejskiej, zupełnej bezinteresowności etc. pokrywa tradycyjną pożądliwość rosyjską. „L'intérêt parle toutes les langues et joue tous les personnages, même celui d'honnête homme" (Interes mówi wszystkiemi językami i gra wszystkie role, nawet rolę uczciwego człowieka), jak powiada ks. Larochefoucauld. Nie udaje jednak przyjaciela Polaków, owszem hr. Kapnist otwarcie wygłasza rosyjsko-szowinistyczną teoryę, że nie wystarcza dynastyczna lojalność Polaków, lecz — potrzeba „zlania się".

*) *Prawitielstwiennyj Wiestnik* dosłownie napisał tak: „Dzień 5ty września będzie dla narodu niemieckiego równie znaczącym i pamiętnym, jak dni sierpniowe dla ludów pod berłem Habsburgów. Wrocławski zjazd monarchów powitany zostanie w całem państwie Hohenzollernów z tem samem uczuciem uniesienia, jak przed dziewięciu dniami w Austro-Węgrzech powitano zjazd wiedeński. Węzły powinowactwa, które łączą rosyjską rodzinę cesarską z niemiecką, nadadzą w oczach Europy szczególnej wagi słowom przyjaźni, które, pominąwszy nawet polityczne stosunki i położenie międzynarodowych spraw, odznaczały zjazd na niemieckiej ziemi. Równoczesna obecność we Wrocławiu dwóch monarchów, którzy oddani są interesom powszechnego pokoju, doda nowej i pożądanej rękojmi dla siły i nienaruszalności pokoju, tego najwyższego dobra cywilizowanych ludów".

Korespondencye.

Londyn, 5 września.

(T.). Śmierć rosyjskiego ministra spraw zagranicznych ks. Łobanowa wywołała szeroką dyskusyę w prasie angielskiej. Jeżeli jednozgodnie wysławia ona jego narodowy patryotyzm, zręczność i takt dyplomatyczny, to uznaje, że nie przebierał w środkach i że nie zdawał się mieć pojęcia o moralnych prawach i o humanizmie (?). Co atoli stanowi w tej dyskusyi wybitną nutę, to szczere przyznanie, że ks. Łobanow był otwartym nieprzyjacielem Anglii, że jej kosztem chciał odpłacić Francuzom za jej poddańczą uległość względem Rosyi. Prasa angielska przyznaje dalej, że dyplomacie temu udało się wyprzeć w Konstantynopolu wpływ angielski i narzucić Porcie rodzaj protektoratu rosyjskiego. Zdaniem Anglików, nie kto inny, jak ks. Łobanow, jest moralnie odpowiedzialnym za gwałty, mordy i bezprawia w Armenii. Nie chcąc uszczuplić spadkobierstwa tureckiego, za którego prawą dziedziczkę uważa się Rosya, a potrzebując teraz pokoju, zmarły minister rosyjski sparaliżował działalność Europy. Osobisty jego tryumf — tryumf Rosyi był klęską dla cywilizacyi.

Przy takiej charakterystyce międzynarodowej akcyi rosyjskiej nie można wątpić, że dyplomacya angielska wytęży wszystkie siły, aby obecnie, gdy się zmieni osoba dyrygująca polityką zagraniczną w Rosyi, usposobić ją dla swych widoków przyjaźniej. Odwiedziny cesarza Mikołaja na dworze królowej w Balmoral zdają się być sposobną do tego okolicznością. Nie ma dnia, żeby wielkie organy prasy nie zwracały się do lorda Salisburego z radami jak ma otworzyć oczy Mikołajowi II na bezprawia w Turcyi i przekonać go, iż jest hańbą osłaniać jej głowę protekcyą Rosyi. Czy się stanie zadość tym życzeniom angielskim, niedaleka przyszłość pokaże. Jeżeli pobieżnie tej sprawy dotknąłem, to jedynie w zamiarze przypomnienia, że opinia angielska jest coraz nieprzyjaźniej usposobiona względem Turcyi, że pragnie likwidacyi tego problematu i że zarzuca Rosyi nie jej zaborcze zamiary, ale niewytłómaczoną jej powolność. Sir Filip Carrie ambasador angielski, który w tym tygodniu udał się z powrotem do Konstantynopola, ma powierzoną sobie misyę otwartego uwiadomienia Porty ottomańskiej, że nie może rachować na poparcie rządu angielskiego. Wiadomość ta, potwierdzona przez półurzędowe organy, została przychylnie przyjętą przez świat polityczny.

Przechodząc do spraw miejscowych, zaznaczam tu nadzwyczajny rozwój popularnej prasy z coraz większą ujmą owych wielkich politycznych organów, na których się urabiała opinia dawniejszych warstw dyrygujących. Za granicą przypuszczają, że wszyscy Anglicy czytują *Times'a*, *Standard'a*, albo *Daily News*, podczas gdy się dzieje inaczej. Demokracya, biorąca coraz większy udział w sprawach publicznych, nie posiada ani dostatecznego wykształcenia, ani nie ma dość czasu, aby iść za wywodami i komentarzami poważnej prasy. Dla niej wystarczają telegraficzne depesze, krótkie a zwięzłe informacye i sensacyjne wiadomości. Takiemu usposobieniu odpowiadające organa mogą liczyć na powodzenie. Najwymowniejszym tego dowodem jest szalony sukces dziennicska *Evening News*, który w tych dniach z okazyi swego dwuletniego istnienia pod dyrekcyą braci Harmsworthów, wydał specyalny numer na kanarkowo-żółtym papierze i w nim dwuletnią swoją historyę opowiedział. A jest to historya ciekawa!

Dziennik ten istniał już od 1881 roku, ale nie miał powodzenia najmniejszego. Dawniejszy jego właściciel p. Coloridge Kennard stracił był na tem niefortunnem przedsięwzięciu nie mniej jak 170.000 funtów. Uważał się za szczęśliwego gdy w 1894 r. pp. Harmsworth, młodzi i zamożni wydawcy kilku innych dzienników zapłacili mu zań 25.000 f, bo zapowiadało wszystko nieuniknioną ruinę tego dziennicska. A przecież stało się inaczej. Nowy właściciel, zachowując nawet dawniejszą redakcyę i administracyę, pchnął go na nowe tory. Otworzył popularne rubryki, zainteresował kobiety dając im informacye o modach i przepisach gospodarskich, podawał w licznych edycyach ciągłe wiadomości o wyścigach i różnych sportach narodowych. Przedewszystkiem jednak zasłynął szybkością swych zagranicznych informacyi. Jego depesze i kable prześcigały szybkością te, które rząd otrzymywał. Korespondenci wysyłani do kolonij, upełnomocnieni przy tych niezliczonych wojennych wyprawach, które Anglia prowadzi raz po raz, wybrani zostali trafnie.

W krótkim czasie *Evening News* w swych edycyach południowych, pojawiających się na zielonawym i na różowym papierze, stał się najpoczytniejszym dziennikiem, czytywanym nietylko przez pospólstwo, ale przez wszystkie klasy towarzyskie. Już w pierwszem półroczu 1894 podniosło się wydawnictwo ogromnie, bo sprzedało 18 milionów egzemplarzy. W r. 1895 podniosło się do 24 milionów, a ośm miesięcy bieżącego roku dało nieprawdopodobną a wszelako urzędowo stwierdzoną cyfrę 34 milionów egzemplarzy. W ten sposób w ciągu dwóchletniego okresu podniosła się sprzedaż tego dziennika o 16 milionów egzemplarzy. Wydatki są wielkie, bo sam papier kosztuje 25.632 funtów rocznie, a redakcya i administracya 27.400 fnt., ale widocznie się opłacają. Piętnaście machin parowych wyrzuca co godzinę 360.000 egzemplarzy wydrukowanych, ale to nie wystarcza i nowo budujące się machiny podniosą tę wytwórczość do 600.000 egzemplarzy na godzinę. Właściciel prowadzący to wydawnictwo jak i kilkanaście innych *con amore* przyznaje jednak, że w jego przekonaniu są to dopiero drobne początki i że jest jego zamiarem wprowadzić cały szereg ulepszeń, które zrobić mają *Evening News* idealnym dziennikiem. Można obietnicy tej wierzyć. Pan Harmsworth jest szczęśliwym we wszystkiem co przedsiębierze, a za dowód można przytoczyć to, że uorganizowana jego sumptem wyprawa kapitana Jacksona dla odszukania dr. Nansena w podbiegunowych lodowcach właśnie świetnym uwieńczyła się rezultatem. Ale jeżeli to był tylko dodatkowy okaz jego działalności, to w dziennikarskim zawodzie jest niestrudzonym. Od paru miesięcy wydaje oprócz tego wieczornego dziennika inny, poranny, na ten sam model zakreślony. Jest to *Daily Mail*. Od pierwszego swego numeru pozyskał on nadzwyczajną wziętość i ma dzienną sprzedaż 225 do 250.000 egzemplarzy. Dzienniki p. Harmswortha wyrugowują inne swą nadzwyczajną taniością, gdyż numer kosztuje zaledwie pół pensa, a zawartość ich i ogrom wiadomości podawanych wyrównywa największym poważnym kolosom prasy londyńskiej.

Taka taniość jest możliwa tylko przy olbrzymiej cyrkulacyi dziennika i przy codziennym napływie funduszów z ogłoszeń i sprzedaży ulicznej. Jak wiadomo, prenumerata roczna, jak się to dzieje na stałym lądzie, nie istnieje w Anglii. Oprócz tego p. Harmsworth, który wydaje kilka wielkich prowincyonalnych dzienników, a w Londynie kilka tygodników i rozmaite specyalne pisma, ma wszelkie materyalne środki doześrodkowania swej działalności, do zmniejszenia kosztów. Jedne jego pisma posiłkują i zasilają drugie, a te same agencye telegraficzne, ci sami korespondenci pracują na wszech punktach kuli ziemskiej dla jego wydawnictw. Takie zamerykanizowanie dziennikarstwa jest nowym tutaj objawem i odpowia-

3)

PASIERBY

Powieść na tle współczesnem

przez

Anatola Krzyżanowskiego.

(Ciąg dalszy).

Szczęsna nie słyszała go nawet. Oczy jej smutne, w dal utkwione, śledziły myśl nieuchwytną, w głowie brzmiał ciągle frazes: „Najlepiej zabrać komuś ostatnią jego krwawicę, a później panoszyć się jeszcze w pałacu i ludzi z góry traktować".

Czuł, że duma jej musiała straszny dostać policzek, a nie wiedział, jak ją od myśli tych oderwać, jak wrażenie złagodzić. Stała przed nim bladziutka niby kwiat podcięty, skamieniała niby posąg zwątpienia, a on nie mógł dla niej nic a nic zrobić.

Wtedy to postanowił na psa całą jej zwrócić uwagę.

— Pani pozwoli mi opatrzyć go? — zapytał.

I wyjąwszy z kieszeni chustkę, rozdarł ją szybko na dwoje.

— Waryat! — mruknął stary szlachcic, a machnąwszy ręką, zapuścił się napowrót w gęstwinę.

Zostali sami. Chrzęst dartego płótna zbudził dziewczę z bolesnej zadumy. Spuściła śliczne poważne swe oczy, patrząc najpierw bezwiednie, później zaś z zajęciem, na dorodną postać młodzieńca, który klęcząc u stóp jej, z niewieścią prawie tkliwością ocierał skrwawioną szyję i ucho doga. Czynił to tak delikatnie, jak gdyby tu szło o dziecko lub istotę ukochaną; tak lekko, jak gdyby tu o nią, o Szczęsną chodziło; jak gdyby ruchem tym mógł zagoić ranę, przez słowa okrutne sercu jej zadaną.

Wtem pies, którego uraził widać, warknął groźnie.

Głos ten oprzytomnił do reszty Szczęsną. Pochyliła się, głaszcząc białą ręką szyję doga i chcąc podtrzymać ucho, na które nieznajomy nalewał parę kropli spirytusu z myśliwskiej manierki, przyklękła na murawie po drugiej stronie Lorda.

Zbliżeni tak, iż ręce ich niemal się dotykały, mimowoli podnieśli ku sobie oczy; on z bezwiednem współczuciem i niemą korną prośbą o przebaczenie, ona z nieświadomym siebie wzruszającym wyrzutem. Nie zrobiła im nic złego, oni zaś równie straszną wyrządzili jej przykrość.

Pies szarpnął się w tej chwili boleśnie.

— Cicho, Lord, cicho — zabrzmiał słodki głos dziewczęcia. — Pan nie zrobi ci krzywdy. Krzywdę — dodała ciszej — ludzie zwykli ludziom tylko wyrządzać.

Opatrunek był już skończony. Ona, zamyślona, klęczała ciągle; on, słowami jej dotknięty, pochylił się nagle i do ręki jej, na szyi doga wspartej, gorące przyłożył usta.

Cofnęła się żywo.

W pocałunku tym jednak kornym i czci pełnym było tyle prośby serdecznej, iż nie mógł jej obrazić.

— Racz pani zapomnieć o słowach stryja, racz je przebaczyć... Wierzaj, że był to wybuch gniewu, ale nie zaborcze instynkty zaborczego wierzyciela.

Podnieśli się i stali po raz wtóry dzisiaj oko w oko, z odmiennemi już tylko uczuciami. Na blade lica Szczęsnej fala rumieńca zwolna powracała, w czarnych oczach mężczyzny obok prośby zaczął się znowu przebijać wyraz podziwu i uwielbienia dla tej prześlicznej, czarem piękności jaśniejącej istoty.

— Czy wolno zapytać o nazwisko stryja pańskiego? — podjęła.

— Jakto? Pani go nie zna nawet? Tem więcej zawinił. Sądziłem, że stary pułkownik Dowburt nie obcy tu jest nikomu.

— Dowburt? Ach, tak, słyszałam o nim; ponieważ jednak w domu naszym nie bywa, nie spotkałam go dotąd.

— Pani pozwoli, że i swoje dodam nazwisko: Zygmunt Dowburt-Koniecki, synowiec tego zacnego w gruncie borsuka, któremu jednak dzisiejszego zachowania się nie przebaczę długo.

— Dlaczego? Stryj pański upominał się tylko o swoje prawa. Aby ich nie kwestyonować — dodała dumnie — nigdy tu już nie powrócę. Nigdy!

I, powiódłszy dokoła okiem suchem, błyszczącem, skinęła zimno głową, kierując się do odwrotu.

Zygmunt szybko zabiegł jej drogę.

— Nigdy! — mówił, gorącym obejmując ją wzrokiem — to wyraz zbyt smutny, abyśmy się z nim rozstać mieli. Czyż spotkanie dzisiejsze ma pozostać dla mnie wyrzutem tylko i wspomnieniem?

Zawahała się. Wielkie, szafirowe jej źrenice, ukryte w cieniu rzęs długich, podniosły się zwolna i spojrzały dokoła.

Świat był taki piękny, taki ponętny i w obietnice bogaty. Przepyszne słońce czerwcowe pełnym oblewało ich blaskiem, zachęcając do śmiechu, do wesela i życia. Ukojona obrazem tym, zwróciła wzrok na dorodną postać mężczyzny i głęboko, badawczo w oczy mu spojrzała. Wyraz, jaki na dnie ich dostrzegła, musiał rozbroić ją do reszty; delikatne bowiem, śliczne jej rysy zarumieniły się napowrót, a karminowe usta wyszeptały cichutko:

— Do widzenia.

II.

Przybiegłszy tu na skrzydłach nadziei i zapału, Szczęsna wracała jak odurzona. Skorpion, troską nazwany, zapuściwszy żądło w jej serce, stał się odrazu kulą u nogi, kulą, która ciężarem swoim zamęt w myśli jej rzucała. Chciała dla zebrania ich zatrzymać się i odpocząć, a gnała ją naprzód obawa ponownego upokorzenia, lęk, aby jej kto nie rzucił szydersko w oczy: „Niech panna Zaliwska raczy nie zapominać, że do tych Zaliwiec i ja także pewne mam prawo"; aby słowami: „Najlepiej zabrać komuś ostatnią jego krwawicę, a później panoszyć się jeszcze w pałacu i ludzi z góry traktować", nie rzucił jej nowej obelgi, nowego nie wymierzył policzka.

Ukrywszy się dopiero zdala od miejsca, które sceny tej było świadkiem, spróbowała uspokoić się nieco i prawdzie spojrzeć w oczy. Prawdzie? Tak. Lękała się niestety, że słowa te były prawdą i dlatego nie broniła się, gdy nieznajomy ów wołał butnie: „Czemuż panna Szczęsna Zaliwska, której ojciec zabrał mi wszystko, com posiadał, bryzga nam dumnie w oczy, że cudze nachodzimy grunty". Nie broniła nawet tego ukochanego ojca, któremu przecież zarzut wyzysku, zarzut oszustwa niemal, ledwie i podłości ciskano.

A jednak, ojciec jej ceniony był przez całą okolicę, lubiany powszechnie i na rękach noszony. Jak więc te dwie rzeczy pogodzić? Jak połączyć otaczające go uznanie z nową czarną kreską, dodaną do rachunku, który trzeba będzie wkrótce z przeszłością uczynić?

Szczęsna nie rozumiała tego. Wiedziała tylko, że zraniono jej dumę, zdeptano ambicyę, upokorzono miłość własną; pojmowała, iż w życie ich wkrada się jakiś rozdźwięk straszny, grożący pochłonięciem szczęścia i spokoju, niezależności i bytu całego. Zerwała się też, by jak ptaszę zranione schronić się do gniazda, by u skrzydeł nie matki, bo tej martwić nie chciała, lecz w opiece ojca, szukać ukojenia i ratunku. Miał wrócić dziś w nocy, zapyta go więc, co znaczyły ubliżające słowa nieznajomego, zapyta, czy naprawdę grozi im wyrzucenie z rodzinnego gniazda.

Gdy Szczęsna wracała z postanowieniem tem do domu, dwór w Zaliwcach wrzał już ruchem i życiem.

U podjazdu niecierpliwiły się konie, zaprzężone do bryczki i amerykana. Na obszernej werendzie, widniał stół do śniadania zastawiony, a zajęty przez kilku współbiesiadników, przyczem zdala było słychać gwarną ich rozmowę.

— Co to za goście? — zapytała chłopca kredensowego, omijając zdala werendę.

— To jaśnie pan przyjechał w nocy z dwoma panami i zaraz znów odjeżdża.

Uśmiechnęła się smutnie i pobiegła przebrać się naprędce. Przy stole dysputowano tymczasem zawzięcie, a sprzeczne rozkazy pana domu, który żądał naraz kawy i herbaty, wędlin i starki, krzyżowały się w powietrzu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

da owej koncentracyi handlów i magazynów, która się już głęboko wpoiła w organizm ekonomiczny nowoczesnego świata.

W kwestyi bankowej.

II. Zyski banku i udział w nich państwa.

Kwestya udziału państwa w zyskach banku ma jednak obok omówionych już trudności — zysku z relacyi i długu 80milionowego — inne jeszcze strony, stanowiące przedmiot nieporozumień. Bank ma objąć zarząd zapasów kasowych obu państw, ma rozszerzyć swój interes czekowy i clearingowy, ma zebrać w piwnicach swoich wszystkie zasoby złota, które państwa zakupiły na przeprowadzenie reformy waluty. Jeżeli już dotychczas cena przywileju bajecznie była niska, to na przyszłość, kiedy bank będzie niemal wszechwładnym panem sytuacyi na targu, wszelka podatność na jego wymagania byłaby wprost niedorzecznością.

Bankowa akcya jest jakby papierem państwowym. Jej dochód stały powinien mierzyć się wedle stopy procentowej pożyczek państwa. Dlatego akcyonaryuszom nie ma powodu poręczać większego zysku niż 4 pct. (w najgorszym razie 4½ pct). Co bank nad tę sumę zarabia, powinno być w części zyskiem państwa. System niemiecki, wedle którego bank do 6 pct (powyżej 3½ pct) połowę zysku zatrzymuje sobie, a wyżej 6 pct tylko jedną czwartą, byłby wart naśladowania i w Austro-Węgrzech.

Tymczasem publikacye bankowe już przed dwoma laty odsłoniły cały zaskorupiały egoizm tej instytucyi, która żąda oddania zapasów państwowych, spłacenia długu 78 milionów, a za to ofiaruje udział w zyskach wyżej 6 pct. Wtedy też bank chciał zredukować kapitał akcyjny o 15 milionów i rozdzielić go pomiędzy akcyonaryuszy.

Teraz bank od razu odkrywa, że kapitał akcyjny jest za mały i żąda podwyższenia go o 15 milionów, mianowicie na 105 mil. Odpisanoby sumę tę z funduszu rezerwowego i wpisano na rachunek akcyi. Zgodziłby się pod tym warunkiem bank na udział państwa w zyskach powyżej 4½ pct. Ale podwyższenie kapitału akcyjnego prowadzi za sobą podwyższenie procentów od niego. Gdyby dziś udział w zyskach poczynał się przy granicy 4½ pct., to bank otrzymywałby dla akcyonaryuszy 4,050.000 rocznie. Wedle planu bankowego mają jednak akcyonaryusze otrzymywać przedewszystkiem 4,725.000 rocznie, t. j. nie 4½ pct. dzisiejszego kapitału, ale 5·25 pct. Nie dość na tem. Fundusz rezerwowy będzie wyczerpany. Piętnaście milionów odpisze się na akcye — nie wiadomo z jakiego powodu prawnego, czy bodaj kupieckiego! — a drugie piętnaście milionów gotów bank zeń odpisać na dług państwa pod warunkiem, że ono po 12 latach w razie zniesienia przywileju wypłaci akcyonaryuszom zamiast podwyższyć się mającej z 600 na 700 złr. wartości nominalnej akcyi, 800 złr. za każdą sztukę.

Rozumowania banku są bardzo proste. Podwyższeniem wartości akcyi o 100 złr. (na 700 za sztukę) zyskuje akcyonaryusz ¾ pct. Udział w zysku państw zaczyna się nie przy 4½, ale dopiero przy 5·25 pct. To jest pierwszy szach. Bank nie chce zmniejszyć długu, ale godzi się chyba tylko przewlec jego spłatę i na tej zwłoce coś zyskać. Powiada tedy, że z funduszu rezerwowego wyjmie 15 milionów na umorzenie długu, a że fundusz rezerwowy dzięki dawniejszym umowom jest niestety w całości własnością akcyonaryuszy, więc żąda, aby im wrócono tych 15 milionów w innej formie, to jest przez dalsze podwyższenie nominalnej wartości akcyi. Nie tylko nie jest to żadnem ustępstwem, ale nawet jest nowym uszczerbkiem dla interesów państwa, wypadnie bowiem zasilić fundusz rezerwowy 8 procentami od zysku który pozostaje po wypłaceniu akcyonaryuszom — dziś zaś ten zysk wynosi 5 pct. — a na przyszłość ma wynosić 4½ względnie zaś jak wyżej obliczono, 5·25 pct.

Ile więc owa zwyżka zysku wyniesie? Weźmy za podstawę przeciętny zysk z lat ostatnich t. j. 7.037.000 zł. Z tego dostają akcyonaryusze 4.725.000 zł. Zostaje 2,312.000 zł. Do funduszu rezerwowego składa się tedy rocznie 185.000 zł., czyli 0·2 prot. dzisiejszego kapitału akcyjnego. A że akcyonaryusze uważają fundusz rezerwowy za swoją wyłączną własność, więc pobierać mają nie 4½ prot., ani nawet 5·25 prot., jak wyżej obliczono, ale w rzeczywistości 5·45 prot. od swego kapitału, a dopiero po tej granicy i po zasileniu funduszu pensyjnego dwoma procentami, zaczyna się udział państwa.

To jest drugi szach. Wygląda to tak, jakby rada jeneralna banku austro-węgierskiego, mniemała, że nikt oprócz niej w całem państwie nie umie rachunku procentowego.

W Niemczech połowa funduszu rezerwowego jest zastrzeżoną własnością państwa, akcye zaś, które mają kurs, odpowiadający stu osiemdziesięciu kilku procentom, państwo ma prawo wykupić po nominalnej wartości. Natomiast w Austro-Węgrzech za udzielony przywilej żądają akcyonaryusze, aby państwo zapewniło im, iż akcye ich będą miały kiedyś wartość o 100, względnie 200 zł. większą, niż wynosi kapitał za nie spłacony!

Trudno na takie warunki się godzić. Państwo powinno żądać, — jeśli już pozwala na naruszenie funduszu rezerwowego, — aby przyszły fundusz był w połowie jego własnością; dalej powinno żądać, aby bank za oddane mu zapasy złota i kasowe zapasy wypłacał co najmniej milion rocznie; wreszcie, aby udział w zyskach rozpoczynał się faktycznie przy 4½ pct., a nie przy 5·45 pct. Podwyższać kapitału akcyjnego nie potrzeba; jest bowiem w banku niemieckim tylko 72 milionów złr. (120,000000 marek) kapitału akcyjnego i 18 milionów złr. w rezerwach, a więc razem tyle, ile wynosi kapitał akcyjny banku austro-węgierskiego. Choć ten kapitał zaczerpnięty jest pożyczką państwa, wynoszącą dziś 76.320.000 złr., to dzięki rezerwom 32½ mil., zawsze jeszcze zasoby własne banku dochodzą do 46½ milionów złr. Aby bank wyposażyć tak samo, jak niemiecki przy podobnych usługach, potrzeba tylko 25 — 26 milionów złr., które państwa powinny spłacić ze swojego długu, umarzając resztę (t. j. 50 mil. złr.) corocznymi spłatami z udziału w zyskach.

Żądanie od banku jednego miliona rocznie tytułem odszkodowania nie ma znaczenia zapłaty za przywilej, ponieważ państwo ma oddawać bankowi swoje zapasy kasowe, a wiadomo, że w ostatnich latach same nadwyżki dochodów nad wydatkami w obu państwach wynosiły niemal 40 do 50 ciu milionów; jeżeli tedy przyjmiemy, że stale, nie licząc nigdy, kwota zapasów kasowych oddanych bankowi wynosi tylko 35 milionów, to licząc dochód od niej tylko po 3 pct., już warta ta kwota więcej, niż milion rocznie.

Ale bank nie chce płacić tego miliona. On w ogóle nic nie chce, prócz dywidend dla siebie, ale to nie jest stanowisko banku z państwowym charakterem. Zważyć to jeszcze należy, że już dziś obiega akcyj banku za granicą (więcej, niż połowa), a jeżeli po przeprowadzeniu waluty, akcye te będą przedstawiały stały, niezawodny dochód, wynoszący 5½ pct. złotem, to ani trzecia część akcyj w kraju nie zostanie i mimo ingerencyi rządu, instytucya ta dostanie się pod niebezpieczny wpływ finansistów zagranicznych. O tem zapominać nie wolno.

Należy się spodziewać, że w ostatniej chwili bank się namyśli i ustąpi. Inaczej musianoby utworzyć nową instytucyę.

Dr. Henryk Monat, adwokat w Wiedniu.

Po Wielkopolsce.

II.

(D. K.) Kwestya dla nas najważniejsza, na którą dotychczas stanowczo nie odpowiedziano: „Czy germanizacya robi postępy i jeśli robi, to czy naporowi niemczyzny zdolni będziemy się opierać?" nie tak łatwo może być rozwiązana. Jest faktem, nie podlegającym wątpliwości, że wiele okolic polskich zniemczyło się dawniej. Jak nasza idzie germanizacyi historya, pokazuje nam Szląsk, gdzie na Szląsku postęp germanizacyi nie był jednakowy; Niemcy w pochodzie na wschód nie zawsze byli szczęśliwi. Tak np. miasta szląskie, które po pierwszym napadzie Tatarów i po sprowadzeniu mieszczan Niemców były niemal niemieckiemi, spolszczyły się z biegiem wieków, tak, że w pierwszej połowie bieżącego wieku były miasta górnoszląskie prawie zupełnie polskiemi, a to tem bardziej, że w nich żydów prawie wcale nie było. Po Niemcach sprowadzonych w wiekach trzynastym i czternastym nie pozostało śladu. Tymczasem w ostatnich latach pięćdziesięciu znowu mieszczaństwo polskie się niemczy, prąd germanizacyjny wzrasta, mieszczaństwo górnoszląskie, którego starsza generacya dziś jeszcze między sobą mówi po polsku, uważa się za niemieckie i swą niemieckość wrogo manifestuje wobec szląskiego chłopa polskiego, który się czuje Polakiem. Tym sposobem wytwarza się na Szląsku dawny typ walki rasowej: walczy polska wieś z miastem niemieckiem, chłop polski z mieszczaninem niemieckim. Kto zwycięży? Na to pytanie odpowiedziała historya już raz na naszą korzyść. I bynajmniej o optymizm nas posądzać nie można, jeżeli się spodziewamy i dziś takiego samego wyniku walki. Wobec tego, że istnieje ciągły przypływ ludności wiejskiej do miast; że ludność wiejska miejską utrzymuje; wobec tego wreszcie, że dziś lud szląski jest uświadomiony narodowo, czem dawniej nie był: należy się spodziewać, że napór niemczyzny ostatecznie będzie przełamany. Swiadczą też o tem różne fakta, jak powodzenie materyalne tych mieszczan, zresztą bardzo nielicznych, którzy się uważają za Polaków, u których lud okoliczny robi swoje zakupna, pomijając Niemców. W ostatnich czasach powstało na Szląsku już kilka towarzystw tak zwanych przemysłowych, do których należą kupcy i rzemieślnicy Polacy. Chociaż tych towarzystw nie ma więcej nad pięć czy sześć, to już sam ten fakt, że są kupcy i rzemieślnicy polscy na Szląsku, że oni mają odwagę otwarcie przyznawać się do narodowości polskiej i do polskich towarzystw przystępują, jest wobec znanej nietolerancyi wszystkiego co polskie nader pocieszającem i wysoce znamiennem zjawiskiem. Na Szląsku pruskim naliczono — według ostatniego spisu ludności — około miliona Polaków; niemal drugi milion żyje po miastach, z pochodzenia jest czysto polski, ale w spisie ludności figuruje jako niemiecki, bo za taki chce uchodzić i jako taki kazał się wpisać. Oczywista więc, że wielką wagę posiada dla nas każdy symptom, świadczący o przebudzeniu się świadomości narodowej wśród mieszczaństwa szląskiego.

Na ów psychiczny proces germanizacyi istnieją wśród przeważnej części społeczeństwa naszego poglądy nieodpowiadające istotnemu stanowi rzeczy. Błąd główny polega zwłaszcza na tem, że się przypisuje znaczenie przesadne ustawom państwowym i wogóle stosunkom prawnopolitycznym. Tymczasem polityka i rządy mają na wynarodawianie wpływ tylko nieznaczny, działają powierzchownie, a częstokroć wbrew swym intencyom. Udowodnić to można faktami. I tak np. polityka pruska — wroga wszystkiemu, co polskie — nie może poszczycić się wielkimi sukcesami na Szląsku pruskim; zaś polityka austryacka, dająca możność podniesienia się Polakom na Szląsku austryackim, nic nam nie pomogła. Polskość na Szląsku austryackim cofa się, gdy Szląsk pruski dla nas zmartwychwstaje.

Rozpatrzywszy się w naszych stosunkach kresowych bliżej, spostrzeżemy, że walka narodowościowa ma dwie całkiem odrębne fizyonomie. Różnica między kresami wielkopolskimi a pomorskimi jest tak nieznaczna, że można mówić o jednym typie tamtejszej walki; natomiast inną, wręcz całkiem odmienną, jest walka na Szląsku. Wielkopolska i Pomorze (część t. z. Prus wschodnich i zachodnich) dają specyficznie polski obraz walki z niemczyzną, walka zaś na Szląsku ma fizyonomię walki, jaką wiodą z niemczyzną Wendowie, Czesi, Morawianie, Słoweńcy. Owa różnica polega na tem, że ludność wielkopolska i pomorska walczy z Niemcami w warunkach psychicznie szczęśliwszych. Walcząc z Niemcem-protestantem, znajduje ona punkt oparcia w katolicyźmie, chłop wielkopolski i pomorski czuje jako katolik swą przewagę nad protestantyzmem. Powaga i znaczenie Papieża, biskupów i Kościoła stoi wyżej aniżeli powaga pastorów i superintendentów protestanckich; dalej, posiadając szlachtę i arystokracyę polską, stawia ją wyżej aniżeli komisarzy lub landratów pruskich i widzi w Niemcach intruzów, przybłędów. To pojęcie wyższości Polski i katolicyzmu nad niemczyzną i protestantyzmem posiada ogół ludności wielkopolskiej i pomorskiej; szkoła niemiecka, sądy i ustawy antypolskie są w jego pojęciu zamachami czegoś niższego, a więc gorszego na to, co wyższe, lepsze i do tego święte, zachowuje się więc wobec niemczyzny odpornie.

W każdym człowieku jest wrodzony ów pociąg „sich geltend machen“, być czemś wyższem i lepszem. Chłop nasz, mając przekonanie, że Polak i katolik jest czemś lepszem, aniżeli Niemiec-protestant, nigdy Niemcem nie będzie; więc o zniemczeniu się ludności polskiej nie może być mowy, dopóki owe stosunki psychiczne się nie zmienią. To też germanizacya w Wielkopolsce i na Pomorzu znajduje tylko jedną drogę przystępu: przez wykupowanie grutów polskich i osadzanie na nich kolonistów niemieckich. W walce ze słowiańszczyzną osiągnęli Niemcy tym sposobem wiele, ale zdobycze te zrobili wówczas, kiedy zaludnienie ziem, przez nich kolonizowanych było słabe, dziś rezultat akcyi tej nie odpowiada wcale nakładom, przyznają to Niemcy sami. Zresztą dzieje kolonii niemieckich w Wielkopolsce nie są bynajmniej zachęcające. Mamy tuż pod Poznaniem Niemców kolonistów t. z. Bambrów (pochodzących z Bambergu w Bawaryi), którzy zupełnie się spolszczyli; kolonie niemieckie, założone przez Fryderyka Wielkiego w kraju nadnoteckim tracą dzisiaj pomimo gorliwej opieki rządu swój charakter czysto-niemiecki, jaki posiadały do niedawna; grunta niemieckich kolonistów wykupują zwolna chłopi polscy. Rząd niemiecki bynajmniej nie postępuje racyonalnie, zakładając kolonie niemieckie najliczniej w powiatach, przeważnie polskich, jak gnieźnieński lub wągrowski. Aż nazbyt widoczna jest, że akcyę komisyi kolonizacyjnej obliczono na efekt, jaki ma wywołać przyszły rezultat wyborów do sejmu pruskiego w tych powiatach. Jak wiadomo, wybory do sejmu pruskiego są pośrednie. Wskutek znacznego ubytku głosów polskich w pierwszej klasie, do której należą właściciele dóbr, w okręgach tych zwyciężaliśmy małą ilością głosów. Komisya kolonizacyjna, wytężywszy swe siły na owe powiaty, sądzi, że mandat nam odbierze i tym sposobem zaraz na początku wykaże się rezultatami politycznymi swej działalności. Że tak się stanie, łatwo być może, wszakże pewności żadnej nie ma, gdyż tymczasem mogą na naszą korzyść zmienić się stosunki w drugiej klasie wyborczej, albowiem faktem jest pocieszającym, że polski stan średni wzmaga się materyalnie z każdym rokiem.

Za rząd pruski w swych usiłowaniach germanizacyjnych główną wagę kładzie na ustawy antypolskie, pochodzi to po części z jego zaślepienia, a po części z teoretycznego zapatrywania się na stosunki tutejsze. Ustawy antypolskie mogą być na rękę tutejszym „kulturträgerom“ niemieckim, zbankrutowanym dzierżawcom domen i niemieckim właścicielom ziemskim, których szereg bodaj czy nie większy, aniżeli naszych. Polityka gwałtu i ucisku wręcz przeciwne przynosi owoce, ale rząd prowadzi ją dalej, gdyż kierownicy polityki pruskiej, nie znając naszych stosunków, ufają „berychtom“ tutejszych karyerowiczów. Wprawdzie w Berlinie wiedzą dzisiaj, że stosunki u nas zmieniły się dla Niemców znacznie na gorsze, ale potęga biurokratyzmu jest wielka, a ona-to właśnie przedstawia Berlinowi rzecz w ten sposób, że licho pochodzi stąd, iż rząd nie dość energicznie postępuje, a jeszcze brutalniej powinien się obchodzić. Wymyślono nawet nową etykietę: „propaganda“ polska.

Tymczasem sprawa germanizacyi ziem polskich dla człowieka nieuprzedzonego przedstawia się bardzo jasno. Jest faktem, że germanizacya u nas do roku 1848, na Pomorzu zaś i na Szląsku do wybuchu walki kulturnej z Kościołem katolickim, czyniła iście zastraszające postępy, było to więc wtedy, kiedy nie istniały ani ustawy antipolskie, ani też nie było 100-milionowego funduszu kolonizacyjnego. Słowian nadłabskich wytępili Niemcy, nadużywając chrześcijanizmu; ziemie polskie, jak n. p. świebodzińską, oderwaną już dawniej od Wielkopolski, oraz leżące od dziś w Wielkopolsce powiaty: międzyrzecki, babimojski, wyrzyski, wschowski, niesmal doszczętnie zniemczone, zostały zgermanizowane o wiele jeszcze wcześniej. Ponieważ ludność w okolicach tych nie zmieniała się z dawien dawna i rodziny osiadłe tutaj są te same od czasów niepamiętnych, przeto n. p. w Świebodzinie czytamy po dziś dzień na szyldach nazwiska takie, jak Miegalski, Początek, Omierzyński, a więc nazwiska czysto polskie, mimo to ludzie najstarsi nie pamiętają, aby nawet ich pradziadowie kiedykolwiek po polsku mówili! Oczywista, chodząc po takiem mieście, czytając nazwiska polskie, a nie słysząc ani słówka po polsku, odnosi się wrażenie przygnębiające. Ale ów fakt zgermanizowania się tylu miast i wsi polskich nic nie miał wspólnego z ustawą antipolską lub z komisyą kolonizacyjną; inne były powody i przyczyny wynarodowienia się tej ludności polskiej, inne właściwe czynniki germanizacyi. Tych czynników i środków, odgrywających w germanizacyi rolę najważniejszą, dziś Niemcy nie posiadają, zaś swą polityką eksterminacyjną, powodowani szowinizmem, będąc nim zaślepieni, wyzbyli się ich nieświadomie. To też jeżeli już zupełnie nie chcemy negować niebezpieczeństwa, jakie społeczeństwu naszemu z ich strony grozi, można z całą stanowczością skonstatować fakt, że niebezpieczeństwo to, wbrew wszelkim zamachom rządu pruskiego, jest obecnie daleko mniejszem, aniżeli dawniej.

Co do pesymizmu, jaki się ujawnia w sądzie reszty społeczeństwa o naszych stosunkach, to prawdopodobnie pochodzi on z tego, że zapatruje się społeczeństwo na tę sprawę tak, jak ona dawniej mu się przedstawiała, mianowicie wtedy, gdy germanizacya czyniła istotne postępy. Wówczas stosunki innych dzielnic z naszą były ściślejsze, tem łatwiej więc poglądy się rozpowszechniały i w końcu się utrwaliły pod wpływem wieści o spadających na nas ciosach. Tymczasem dziś zmiany zaszły tak wielkie, że miarą dawniejszą nie godzi się w żaden sposób stosunków naszych oceniać. Dawniej był basztą polskości dworek szlachecki, dziś jest nią każda zagroda chłopa polskiego. Akcya, jaką rząd pruski przeciw szlachcie naszej rozpoczął, jest akcyą o całe pół wieku spóźnioną. Niemiec-dziedzic, wypędziwszy z dóbr swoich robotników Polaków, zastąpić ich może tylko robotnikami polskimi z Kongresówki, gdyż drogi robotnik niemiecki zrujnowałby go bardzo rychło.

Przeciw tym poglądom pesymistycznym o naszem „Poznańskiem“ świadczą zresztą głosy najwybitniejszych publicystów niemieckich. Niemcy sami, widząc, że usiłowania ich wręcz przeciwny odnoszą skutek, potępiają politykę rządu, krytykują odnośne ustawy i uważają akcyę dotychczasową za dzieło poronione.

KRONIKA.

Lwów 10 września.

Nowy prezydent miasta dr. Godzimir Małachowski złożył dziś przysięgę w ręce namiestnika i objął urzędowanie. Jest on szóstym z rzędu burmistrzem za ery samorządu miasta Lwowa. Pierwszym był dr. Floryan Ziemiałkowski, drugim Alekzander Jasiński, trzecim dr. Michał Gnoiński, czwartym Wacław Dąbrowski, a piątym Edmund Mochnacki.

Skończyło się bezkrólewie magistrackie, miasto ma nareszcie swego gospodarza, z czego szczerze radzi jesteśmy. Jako gospodarza, witamy go więc serdecznie i życzymy, aby za jego rządów nasza stolica rozwijała się pomyślnie w każdym kierunku. Pewni jesteśmy, że dr. Małachowski obejmuje swój zaszczytny urząd z tem przeświadczeniem, iż wkłada na swe barki brzemię ciężkiej pracy i wielkiej odpowiedzialności; niechaj więc Bóg użyczy mu sił do sprostania temu zadaniu. Nigdy może jeszcze ludność Lwowa z takiem uczuciem nadziei nie witała nowego prezydenta, jak obecnie; od dra Małachowskiego oczekuje ona nie zachowania dawnego stanu rzeczy w zarządzie miejskim, lecz ulepszenia go. W tej też myśli każdy uczciwy i miastu życzliwy obywatel nie odmówi prezydentowi szczerego, serdecznego poparcia. Zaufanie ma on zupełne.

Zaprzysiężenie go odbyło się dziś o godzinie 12 w świątecznie przybranej sali ratuszowej. O godzinie 12 wszedł do sali książę Namiestnik w towarzystwie radzcy namiestnictwa p. Mautnera. P. Namiestnik wygłosił mowę, w której zagrzewał nowo wybraną radę do pracy około rozwoju i podniesienia stolicy i zapewnił, iż z swej strony zawsze udzieli pomocy tam, gdzie jej wymagać będzie dobro miasta. Po odczytaniu roty przez p. radzcę Mautnera, złożył prezydent Małachowski przysięgę w ręce pana Namiestnika, poczem krótkie przemówienie zakończył okrzykiem na cześć Cesarza, powtórzonym przez radnych trzykrotnie, a gdy się uciszyło, nowy prezydent znowu zabrał głos, aby wyłuszczyć swój program. Mowę jego podamy jutro.

Uroczysty ten akt zakończył się zaprzysiężeniem przez prezydenta Małachowskiego obu wiceprezydentów, pp. Schayera i Michalskiego.

Galerye były przepełnione publicznością, a przed ratuszem po skończonej uroczystości orkiestra Harmonii odegrała kilka utworów narodowych.

Cesarz w Galicyi. We wtorek, jako w święto Najświętszej Panny Maryi odbyła się o godzinie 8-mej rano Msza św. w kaplicy pałacowej. Na nabożeństwie byli oprócz Cesarza obaj jeneralni adjutanci: jenerał kawaleryi hr. Paar i jenerał-porucznik Bolfras, szef sztabu jeneralnego bar. Beck oraz hr. Stadnicki z synem. Po nabożeństwie udał się Cesarz do swej pracowni, gdzie spędził cały prawie czas aż do obiadu. Na obiad, prócz zwykłych uczestników, otrzymał zaproszenie komendant korpusu przemyskiego jenerał-porucznik Galgotzy. Po obiedzie Najjaśniejszy Pan znów oddawał się pracy.

Po manewrach poniedziałkowych zajęła komenda 10-go korpusu kwatery w Mościskach. Tu

„Wielcy parweniusze“.

Pod takim tytułem wyszła w Nowym Yorku książka duża jak biblia o Japończykach, których autor uważa w rodzinie narodów ucywilizowanych po europejsku za parweniuszy. Przytaczamy z tej książki kilka ciekawych urywków.

Rzeczą najbardziej bijącą w oczy cudzoziemca, który na wyspach Japonii się znalazł, jest szczerość i prostota w życiu i obyczajach, przy cywilizacyi, względnie biorąc, bardzo wysoko posuniętej. Potrzeby przeciętnego Japończyka są nie do uwierzenia szczupłe, skromne: Japończycy jadają bardzo mało i prawie wcale a wcale nie piją. Złoto i srebro są niemal obcemi wyrazami. O setki tysięcy i miliony żaden Japończyk nigdy nie dbał, słowem ogólnem „man“ określając wszelką cyfrę, która poza 10.000 wybiega.

Już sam widok siedzib japońskich, gmachów i innych budowli, zdumiewa prostotą. Domy prawie wyłącznie z drzewa pobudowane, co się tłumaczy po części nader częstemi w tym kraju trzęsieniami ziemi.

Typem domu mieszkalnego w Japonii jest rodzaj piętrowego czworaka o czterech lub pięciu izbach, z drzewa pobudowanego. Ma to wielką niedogodność, tę mianowicie, iż domek taki pali się jak zapałka. Ale Japończyk nie martwi się tak znów bardzo, jeśli go pożar nawiedzi. Wychodzi sobie z domu razem z rodziną i przygląda się pożarowi z taką ciekawością, jak gdyby fajerwerk miał przed oczami. Jednak poczucie solidarności towarzyskiej, rozwinięte ogromnie w Japonii, tłómaczy najzupełniej tę obojętność. Niech tylko bowiem pożar się skończy, wnet zbiegają się krewni, przyjaciele, ten z belkami, ów z deskami, inny znów ze sprzętami i ofiara pożogi patrzy już tylko, jak na miejscu dawnej siedziby nowa w oczach wyrasta. Prostota domostw ułatwia szybką ich odbudowę, która ma obok tego charakter jakby przenośny. Zważmy bowiem, że domy kleją się tu poniekąd z belek i desek całkiem obrobionych i gotowych, wstawiają się dalej drzwi i okna także gotowe i dom staje gotowy. Przedzielić go już tylko tam, gdzie trzeba, parawanami i pokoje także gotowe. Uprzątnąć parawany, zrobi się z całego domu jedna wielka izba. Przy takim systemie o naszej utrapionej „dogodności rozkładu“ mowy nie ma. Ogródek, to nieodzowna część domostwa. I nic dziwnego, ogrodnictwo, bowiem uprawiane jest w Japonii namiętnie prawie, stoi też ogromnie wysoko, imponuje po prostu. Jeszcze jeden szczegół: mebli w domu japońskim, w naszem rozumieniu, wcale nie ma, na oko przynajmniej. Izby są puste. Obejrzawszy się jednak widzimy, że meble są, ale powsuwane po kątach w ściany. Wysuwają się w miarę potrzeby jedynie. Ma to ten skutek, iż izba każda wydaje się większą niż byłaby, gdyby umeblowano ją po europejsku.

Japonki są bardzo schludne, kąpią się bowiem codzień, zwyczaj każe jednak, aby głowa była myta jak najrzadziej, a to z przyczyny potwornego czesania włosów, tak przytem kosztownego a mozolnego, że raz uczesane trzymane są włosy jak najdłużej w utrefieniu. Kąpiele japońskie są bardzo gorące; woda sięga 40° R, co nierzadko powoduje apopleksyę. Rząd japoński wydał jeszcze w r. 1872 przepisy, zakazujące kąpać się w wodzie gorącej nad przepisaną normę, ale przepisy te pozostały martwą literą. Ogrzewanie łazienek jest nader kosztowne; z tego względu mniej zamożni kąpią się w łaźniach publicznych. Łaźnie te są zazwyczaj dla obu płci wspólne i nikogo widok ten nie razi. Swiadczyłoby to poniekąd, że pojęcie nagości może być uważane za pojęcie do pewnego stopnia konwencyonalne.

Przybory stołowe i kuchenne są proste i ubogie. Czajnik metalowy, tuzin filiżaneczek, pół tuzina maleńkich stoliczków, trochę serwetek papierowych, kilka noży kuchennych, miska do płókania ryżu, kilka rądli i pewna liczba patyczków, zastępujących noże i widelce — oto i wszystko. Cały obiad podaje się odrazu, na małych stoliczkach, z których jeden stawia się przed każdym gościem. Japończycy jadają bardzo mało. Trochę ryżu, maleńki kawałek ryby, na którymby trzyletnie dziecko europejskie nie poprzestało, trochę konserw, owoców, to i obiad japoński cały. Mięso rzadko bardzo występuje, mleko i jaja również. Delektują się za to Japończycy rybami morskiemi i skorupiakami, a nawet roślinami morskiemi. Wszystko też, cokolwiek morze wyrzuci, znajduje smakoszów, którzy to z prawdziwą rozkoszą zjadają. Kucharze i kucharki w Japonii odznaczają się mistrzowstwem... w sztuce krajania jak najmniejszych kawałków. Metafory i przenośnie są ulubionemi w tym narodzie postaciami retorycznemi; lecz smak artystyczny rządzi też i w świecie kuchennym i dlatego kuchmistrze japońscy koloryzują, barwią często swe arcydzieła i rzeźbią nawet. Więc chrzan n. p. przychodzi na stół nierzadko w postaci róży, jajko zaś przedzierzga się w jabłko lub pomarańczę.

Wogóle mówiąc, ludzie żyją w tym kraju szczęśliwie i tak tanio, że Japonia właściwie wcale ubogich nie posiada. Żebracy, których spotyka się czasami na traktach publicznych, są raczej ludźmi uprzywilejowanymi, oddającymi się żebractwu na mocy pozwolenia udzielonego im kiedyś w odległej przeszłości. Tę szczególną w swoim rodzaju „szlachtę“ rząd chciał koniecznie znieść kilkakrotnie, ale to się nie udało. Zubożały Japończyk zawsze może liczyć na pomoc krewnych i przyjaciół. Cywilizacya niestety, jaką krzewić w tym kraju usiłują, nasza europejska cywilizacya, osłabia coraz bardziej te węzły i coraz już rzadziej spotykać można objawy podobnej solidarności, tak powszechne niegdyś.

Japonia nie zna cotygodniowych dni świątecznych odpoczynkowych. Japończycy pracują całemi miesiącami bez przerwy. Ale każde miasto ma swoje osobne święta, które z wielką pompą bywają obchodzone. Obok tego jest 38 świąt ogólnych, mniejszych i większych. Wielkie święta przypadają pierwszego dnia pierwszego miesiąca, drugiego dnia drugiego miesiąca, trzeciego dnia trzeciego miesiąca i t. d.

Teatr jest rozrywką wielce popularną w Japonii. Co się tyczy sztuk wystawianych, osnute one zazwyczaj bywają na motywach dziejowych Japonii, opiewają jej bohaterów i t. d. Europejskie utwory dramatyczne przeniknęły już wszelako do Japonii, nadewszystko zaś melodramaty.

Grę aktorów cechuje krańcowy, wstrętny realizm. W scenie zabójstwa naprzykład aktor-zbój rozpruwa brzuch ofiary, dokonywa zaś tej czynności z taką siłą i prawdą, że wnętrzności ofiary dobywają się skrwawione — wnętrzności tekturowe. I inne zbrodnie i występek, nie wyłączając tych, które zazwyczaj się omawia jedynie ze względu na przystojność publiczną, na japońskiej scenie dzieją się z drobiazgową dokładnością. Tak pojmowaną bywa w Japonii „prawda sceniczna“. Żarłok również na scenie przypłaca w sposób plastyczny swą szkaradną przywarę i t. d.

Widowiska rozpoczynają się o godzinie 8-ej... rano, a kończą o 8-ej wieczorem. Ceny miejsc są bardzo skromne. W sali ani lóż, ani krzeseł. Teatr mieści się zawsze w szopie, albo w dużym namiocie płóciennym. W sali panuje zupełna ciemność. Aby publiczność widziała fizyognomię aktora, specyalny famulus, na uboczu stojący, trzyma na długiej żerdzi latarnię, którą kolejno oświeca twarze artystów.

Japończycy przepadają za podróżami i za muzyką. Drogi są w tym kraju fatalne wprawdzie, ale szanujący się Japończyk ma sobie za punkt honoru przejechać całą ojczyznę wszerz i wzdłuż, aż do najdalszych zakątków. Brak koni zastępują wytresowani ad hoc ludzie, którzy pędzą z palankinami i lektykami nie gorzej od koni wcale, albo ciągną i pchają kabryolety. Przeszło 400.000 Japończyków uprawia to rzemiosło. Zarabia każdy z nich około 2 franki na dobę i przebiega 40—80 kilometrów. Biegną oni z szybkością 9—10 kilometrów na godzinę.

Wycieczki towarzyskie w głąb kraju należą do rozkoszy życia japońskiego. Uczestniczy w nich zazwyczaj 20—30 osób, zatrzymując się po hotelach, w najpiękniejszych miejscowościach kraju. Hotele te, urządzone przewybornie z punktu widzenia japońskiego, są ogromnie tanie.

Z cudzoziemców przebywających w Japonii najbardziej imponują krajowcom Anglicy. Według nich też wzorują się Japończycy o ile mogą, i od nich uczą się smaku artystycznego. Z początku szło wszystko bardzo opornie, zważmy bowiem, że z jednej strony Anglicy są bardzo brutalni w stosunkach, gdy Japończycy, przeciwnie, rządzą się miodową etykietą. Działy się też skandale wśród śmietanki towarzystwa angielsko-japońskiego, że przypomniemy tylko epizod, w którym ambasador angielski, sir Harry Parker, wyciął poprostu policzek pewnemu dygnitarzowi japońskiemu i to w toku dyskusyi dyplomatycznej. Ale synowie Mikada bardzo prędko przejęli się nowym duchem cywilizacyi zachodniej i urządzają dziś najpoprawniej dyplomatyczne obiady, i „five o'clock teas“, i wszystkie inne cudowności w tym rodzaju. Na pełną rafineryi, że się tak wyrazimy, depprawacyę Europejczyków, odpowiedzieli własną, rodzimą, jeszcze delikatniejszą i subtelniejszą. I poszli jeszcze dalej, bo dopuścili do wielkoświatowych wybryków i kobiety, zamknięte do tej pory i odosobnione, które wprędce przekształciły się na pierwszorzędne lwice, mogące iść w zawody z największemi lwicami Europy. Słowem, w kraju Mikada w każdym kierunku zaszły w ciągu ostatnich lat dziesięć zmiany, które zbliżyły społeczność jego do typu europejskiego, obcego jeszcze zupełnie w Państwie Niebieskiem. To jedno już bez kwestyi starczyć mogło na podniecenie wzajemnych z Chinami niechęci i uprawdopodobnić walkę współplemienną, na której przejawy i krwawe epizody Europa ze zdumieniem patrzyła. I proces ten trwa dalej i niezawodnie nastręczy w swym rozwoju wiele jeszcze epizodów, będących koniecznem następstwem tego rodzaju ewolucyi.

w dniach najbliższych ma się odbyć walka między partyą zachodnią t. j. korpusem 10 a partyą wschodnią t. j. korpusem 11. Komendantem partyi zachodniej jest jenerał-porucznik Galgotzy, a szefem sztabu pułkownik Kummer. Siła jej wynosi 44 bataliony, 9¼ szwadronów i 19 dział. Komendantem partyi wschodniej jest jenerał-porucznik Schulenburg, który po raz pierwszy dowodzi w manewrach pod okiem Najjaśniejszego Pana. Wojskowa siła jego armii wynosi 44 bataliony, 9¼ szwadronów i 128 dział. Zadanie polegające na tem, żeby partya zachodnia nie dopuściła partyi wschodniej do Przemyśla, spełniły obie partye do pewnego stopnia już w poniedziałek, w którym to dniu przyszło do pierwszego większego starcia między obydwoma korpusami Rezultat starcia wypadł na korzyść partyi zachodniej, poczem rozgraniczono linią stanowisk, która miała być utrzymaną przez cały wtorek, jako dzień spoczynku.

Wczoraj t. j. we środę manewry rozpoczęły się na nowo. O godzinie pół do 8-mej wyjechał Cesarz konno na pole manewrów, którymi kierował ze wzgórza między Lipnikami a Sannikami. Manewry wczorajsze pełne były ciekawych szczegółów, tak, że Cesarz 7 godzin bawił na polu manewrów i śledził z wielkiem zainteresowaniem ich przebieg. Przy tej sposobności dał Monarcha kilkakrotnie wyraz swemu zadowoleniu na widok spokojnych i pewnych celu ruchów piechoty Ludność, która na każdym kroku dawała dowody zapału dla osoby Najjaśniejszego Pana, okazuje też wielkie zainteresowanie się ruchami wojsk, a zarazem przychylną i uczynną wobec nich postawę.

Powrót Cesarza z manewrów nastąpi przez Kraków do Wiednia dnia 16 b. m. Na dworcach nie będzie żadnych przyjęć.

Ze sfer urzędowych i towarzyskich. Marszałek krajowy wyjeżdża jutro i w niedzielę do Przemyśla celem wzięcia udziału w obiadach cesarskich, na które otrzymał najwyższe zaproszenie

Mianowania. Zarządzca lasów i domen Franciszek Zajączkowski w Kossowie zamianowany został lustratorem.

Wybory do sejmu szląskiego skończyły się zwycięstwem Polaków. W powiatach cieszyńskim, frysztackim i jabłonkowskim wybrano z kuryi wiejskich ponownie p. Jerzego Cienciałę 205 głosami i ks. Świeżego 174 głosami. Kandydaci niemieccy otrzymali tylko 37 i 66 głosów.

Teatr, czy cyrk? — takie pytanie narzuciło się Lwowianom z powodu udzielonej przez urzędników magistratu koncesyi na cyrk, który ma dawać przedstawienia przez październik, listopad, grudzień i styczeń. Pytanie to jest usprawiedliwione faktem zupełnie pewnym, że dyrekcya teatru wniosła urzędowe zawiadomienie do właściwych władz, iż jeśli cyrk będzie, to ona zrzeknie się koncesyi i ustąpi, albowiem poczyniwszy kosztowne przygotowania do zimowego sezonu, zakupiwszy wiele utworów dramatycznych i operowych, zaangażowawszy nowych artystów, powiększywszy chóry i orkiestrę, zrestaurowawszy teatr kosztem ośmiu tysięcy, nie może dłużej narażać się na niedobory i woli stracić to, co już włożyła w przedsiębiorstwo, niż tracić jeszcze więcej, iść świadomie do bankructwa i w końcu narazić się na narzekania trzystu osób personalu teatralnego, który w środku zimy może się znaleść bez zajęcia i utrzymania. Taka zapowiedź dyrekcyi teatru powinna być gruntownie wzięta pod rozwagę, bo idzie tu najpierw o byt samego teatru, który zwolna wchodzi na lepsze tory, zaczyna się podnosić, a jest subwencyonowany przez kraj i przez miasto, zatem nie powinien być podkopywany lewą ręką, gdy jest wspierany prawą; następnie idzie tu o trzysta rodzin, zatrudnionych przy teatrze, a zagrożonych w swym bycie do takiego stopnia, że mogą się znaleść bez żadnych środków utrzymania wtedy właśnie, gdy o zajęcie w jakimkolwiek innym teatrze trudno, bo wszystkie one będą skompletowane; tej smutnej perspektywy nie rozjaśni fakt, że po czterech miesiącach cyrk z nabitym trzosem odwróci się od Lwowa plecami, aby się udać do Bukaresztu, czy do Belgradu; w końcu jeszcze idzie o to, że sumienie uczciwe nie pozwala narażać przedsiębiorców teatralnych, jak każdych innych, na straty, owszem, nietylko sumienie, ale i interes ekonomiczny nakazuje starać się o to, aby każde rodzime przedsiębiorstwo dawało zyski, bo inaczej nigdy do niczego nie dojdziemy. Nad tem wszystkiem powinna opinia publiczna zastanowić się tem poważniej, że zapowiedź dyrekcyi teatralnej przeraziła artystów i oni zamierzają prosić władz i publiczności o ratunek, a więc trzeba będzie odpowiedzieć im coś dobrze obmyślanego.

Ale my w danej chwili chcemy zwrócić uwagę publiczności na inną jeszcze stronę tej kwestyi. Oto, urzędnicy magistratu, bez wiedzy rady miejskiej, i wtedy, gdy nie ma prezydyum, cichaczem, w największym sekrecie przed publicznością, wydali koncesyą na budowę drewnianego, a jednak stałego cyrku. Jeśli działali cichaczem, to widocznie przewidywali, że opinia publiczna będzie innego zdania i chcieli uniknąć jej protestu, raczej jej woli, bo ona tylko ma prawo stanowić w takich kwestyach przez swój legalny organ: radę miejską i jej prezydyum. Trzeba dobrze się zastanowić, do czego to już doszło w administracyi miejskiej, skoro urzędnicy pozwalają sobie tak lekceważyć radę miejską prezydyum, publiczność i nawet prawo. Czy kto jest zwolennikiem teatru, albo cyrku, czy kto mniema, że cyrk nie zaszkodzi teatrowi, czy też kto woli, aby mu zaszkodził: — wszyscy, sądzimy, muszą być jednego zdania, iż samowola urzędników magistrackich, ich działanie cichaczem, pokazujące, że wiedzieli, iż źle czynią, ich chęć stworzenia czynu dokonanego wbrew prawu, ich lekceważenie rady miejskiej i publiczności, musi być ukarane. Tego wymaga moralność publiczna. Puszczenie płazem tak zuchwałego, obmyślonego, nadużycia będzie świadczyło o bardzo niezdrowych stosunkach w administracyi miejskiej.

Ubezpieczenie urzędników prywatnych. Podejmując to doniosłe zadanie społeczne, postanowiło ministerstwo spraw wewnętrznych, jak wiadomo, przedewszystkiem zebrać materyał statystyczny. W tym celu otrzymały w tych dniach polityczne władze powiatowe od Namiestnictwa potrzebną ilość formularzy, których rozsyłanie jak najprędzej się rozpocznie. Formularze te są dwojakiego rodzaju. Służbodawcy otrzymają do wypełnienia kwestyonaryusze (Fragebogen) zaś dla urzędników pozostających w służbie prywatnej ułożono karty indywidualne (Personalzählkarten), które także należy starannie wypełnić. Badania statystyczne mają być ukończone dnia 15 września b. r. Czy nie za krótki termin? Na wypełnienie formularzy pozostaje zaledwie niespełna dwa tygodnie czasu, a ileż to jest urzędników prywatnych, pracujących gdzieś po zakątkach kraju, którzy nie będą w stanie w tym czasie nawet zgłosić się po formularze.

Urzędników prywatnych dzieli na razie Namiestnictwo na 6 kategoryi. Do kategoryi 1-ej należą urzędnicy używani do wyższych posług w przedsiębiorstwach handlowych i przemysłowych, pobierający roczną lub miesięczną płacę; wykluczeni zatem z niej są robotnicy fabryczni, zarobnicy, czeladnicy i służba niższa. Kategorya 2-ga obejmuje przedsiębiorstwa rolne i leśne, 3 cia przedsiębiorstwa górnicze i hutnicze, 4 ta korporacye bez charakteru zarobkowego, jak kasy oszczędności, rozmaite stowarzyszenia, izby handlowe i przemysłowe, adwokackie, notaryalne, lekarskie itp. Dla adwokatów i notaryuszy utworzono 5-tą kategoryę, 6-ta jest dla sekretarzy prywatnych, nauczycieli, itp. Badania statystyczne co do osób zatrudnionych bez prawa do pensyi w służbie publicznej (kraju, powiatów, gmin, funduszów publicznych itp.) mają być przeprowadzone odrębnie.

Otoż jak powiedzieliśmy wszystkie te koła otrzymają formularze, z których jedne przeznaczone są dla służbodawców, a drugie dla urzędników, aby zaś zachęcić interesowanych do gorliwego współudziału w podjętych badaniach, wystosowało Namiestnictwo odpowiedni okólnik do różnych stowarzyszeń a przedewszystkiem do Towarzystwa wzajemnej pomocy oficyalistów prywatnych. Jednak w przytoczonym podziale widzimy jedną lukę. Oto nieuwzględniono w nim osób, uzdolnionych a nawet fachowych w pewnym rodzaju służby, które jednak chwilowo nie mają miejsca. Jak mają one postąpić? Takich ludzi jest zawsze sporo, bo w służbach prywatnych zmiany funkcyonaryuszy są bardzo częste.

Wiec ludowy w Haczowie w pow. brzozowskim odbył się 6 b. m. Zwołali go pp. Lewakowski, Stapiński i inni „ludowcy". Uczestników zebrała się znaczna liczba, głównie włościan. Przybyło także kilku okolicznych obywateli, marszałek brzozowski i właściciel Haczowa p. Urbański, i kilku księży, między nimi ks. Badeni, bawiący chwilowo w Starej wsi. Po krótkiej przemowie p. Lewakowskiego wstąpił na trybunę p. Stapiński, mówił przeszło 3 godziny, wygłaszająo znane już wszystkim z innych wieców swoje *vademecum* agitacyjne, okraszał zaś je jak zwykle cytatami z Pisma św. tudzież zwrotami z gwary ludowej. Po nim przemawiał X. Badeni. Zastrzegł się z góry że o polityce mówić nie chce i nie będzie; mówi wyłącznie jako ksiądz. Wiele z żądań, wyrażonych przez p. Stapińskiego jest bezwątpienia słusznych; ale chodzi o to, aby ruch ludowy nie stanął w sprzeczności z religią i z posłuszeństwem, które każdy katolik winien kościelnej władzy. Równie p. Lewakowski, jak p. Stapiński zaręczają, że są dobrymi i wiernymi katolikami. Jeżeli tak jest, niechże jak najśpieszniej usuną zgorszenie, jakie dzieje się obecnie przez rozszerzanie zakazanego dawniej przez biskupów, a redagowanego przez Stapińskiego *Przyjaciela ludu* P. Stapiński powinienby się postarać, aby zakaz biskupów, wydany co prawda nie za czasów jego redaktorstwa, został cofnięty. Dziwnem było zachowanie się prowodyrów ludu w obec tego dictum acerbum. Podczas gdy p. Stapiński oświadczył krótko i węzłowato, że nie myśli się starać o aprobatę biskupią p. Lewakowski przychylił się do tej myśli i przyrzekł przeprowadzić jej urzeczywistnienie. Następnie chciał przemawiać znany z wiecu katolickiego chłop Skwara lecz p. Stapiński pomimo głoszonej przez siebie „wolności słowa" przerywał mu ustawicznie. Z tej dyskusyi widzimy, że w zasadniczej kwestyi posłuszeństwa dla władzy kościelnej p. Stapiński, redaktor organu stronnictwa ludowego *Przyjaciela ludu*, nie zgadza się z prezesem tego stronnictwa panem Lewakowskim. Jest to zwyczajna metoda tych panów, obmyślona na bałamucenie wieśniaków, którzy w ten sposób nigdy nie są pewni, czy ich jenerałowie uchylają głowę przed Kościołem, czy też buntują się przeciw niemu.

Z Żółkiewskiego piszą nam: W okręgu wyborczym Sokal-Rawa-Żółkiew już rozpoczęły się zabiegi o mandat poselski do Rady państwa z większych posiadłości. Wolno jest każdemu rozpocząć zabiegi o mandat poselski, chociażby już tak wcześnie, czy jednak w grupie z większych posiadłości, gdzie zwykle panuje karność i zgoda, gdzie w porozumieniu z Komitetem Centralnym przeważa kandydatura potrzebna, odpowiednia, nietylko dla powiatu, ale całego kraju, czy w obec dotychczasowego posła z okręgów Sokal, Rawa-Żółkiew pana Milewskiego profesora wszechnicy jagiellońskiej, który od swych wyborców po złożonem sprawozdaniu w Żółkwi z dotychczasowej działalności, otrzymał wotum zaufania, i który mimo tak krótkiej bytności w Radzie państwa dał się poznać jako jedna z najlepszych sił parlamentu wiedeńskiego, jako człowiek pracy, zdolny i niezależny — czy wobec takiego posła, którego wyborowi przyklasnął cały kraj, wypada komuś jeździć po dworach i zbierać już głosy?!

Poddaję powyższe słowa pod rozwagę szanownym panom wyborcom okręgu Sokal-Rawa-Żółkiew. Niech raczą pamiętać, że nadchodzą czasy, w których wysyłać do Wiednia powinniśmy najtęższych w kraju w słowie i piśmie, — bo na porządek dzienny parlamentu przyjdą sprawy socyalne, agrarne i inne; trzeba więc ludzi niezależnych, z cywilną odwagą, aby nawet i naszym najserdeczniejszym wypowiedzieć contra — bo już największy czas pamiętać „prima charitas ab ego". *Jeden z wyborców.*

Z Krakowa donoszą o uroczystem pożegnaniu artysty teatru krakowskiego p. Edmunda Rygiera, opuszczającego Kraków dla objęcia dyrekcyi sceny poznańskiej. W poniedziałek wieczorem w hotelu Pollera zebrali się koledzy i koleżanki zawodu na wspólną kolacyę, w której uczestniczyło także grono literatów, dziennikarzy i osób żywo zajmujących się teatrem. Z licznych przemówień, które wygłoszono, przyszły kierownik sceny wielkopolskiej odnieść mógł przekonanie, iż rzetelna jego praca w Krakowie w przeciągu lat kilkunastu, talent i zamiłowanie zawodu, których wiele dowodów złożył, nadto przymioty charakteru i takt osobisty należycie i trafnie ocenione zostały tak przez towarzyszy pracy, jak publiczność i prasę, — a życzenia powodzeń na nowem, trudnem i odpowiedzialnem stanowisku były szczerze i powszechne. Kilkadziesiąt ogółem osób uczestniczyło w zebraniu; toasty między innymi wnosili pp. Solski, Anastazy Trapszo, Glikson, Sarnecki, Łoziński, Kotarbiński, Wdowiszewski, Jan Jakubowski, dr. Jonas i Paulina Wojnowska

Z pobytu cara w Kijowie. Do *Czasu* piszą z Kijowa: Przyjęcie, jakie tu zgotowano carowi, musiało go wogóle zadowolić. Słyszałem, jak oficer policyi z Moskwy (skąd, równie jak z Warszawy, sprowadzono około 500 osób z departamentu policyi) opowiadał, że wszyscy zdziwieni byli niezwykłym porządkiem, panującym wśród publiczności tutejszej. Jenerałgubernator Ignatjew miał z początku zamiar ustawienia na ulicach gęstego rzędu żołnierzy, za nimi miały stanąć szpalery chłopów, których w tym celu w liczbie 17.000 tutaj sprowadzono, a dopiero potem miała być rozmieszczona publiczność. Tymczasem jednak przyjechał minister wojny Wannowskij i usunął wojsko jako straż bezpieczeństwa; chłopi zaś, pozostawieni w pierwszych rzędach, zaraz w pierwszym dniu zachowali się tak, że ich usunięto na ostatni plan. Słyszałem, jak tłumaczyli oni ludności, że „wezwano ich do Kijowa, by ochraniali cara przed panami, którzy go nie lubią". Pojmując w ten sposób swoje zadanie, zamierzali powodować aresztowania osób, które im się podejrzanemi wydały. W ostatnich dniach mnóstwo chłopów wałęsało się po ulicach z prośbą o wsparcie, albowiem nikt nie pomyślał o ich wyżywieniu, a sami nie mieli na to środków, gdyż zamożny chłop nie przybył, tylko ubogi. Car miał kilkakrotnie wyrazić jenerałgubernatorowi swoje niezadowolenie, że wydawano bilety i znaczki osobom, które chciały stać na ulicy w pierwszym rzędzie. Z tego powodu w pierwszym dniu było mało osób na ulicach, gdyż mało było amatorów, którzy chcieli się starać o otrzymanie znaczków w policyi.

Kijów był naturalnie wspaniale iluminowany i przystrojony, a lud witał parę cesarską z niekłamanym entuzyazmem. W pierwszym dniu karety cesarskie goniły z wielką szybkością przez ulice, później zaś zwolniły biegu; policya zginęła wśród publiczności i tylko „w dalekich od siebie odstępach stali konni żandarmi. Car z początku wyglądał bardzo znużony i strapiony z powodu nagłej śmierci ministra Łobanowa. W przedostatnim dniu pobytu cesarstwa, spalono nad Dnieprem rzeczywiście wspaniałe ognie sztuczne, na które miasto wydało 25.000 rubli. Carowej Kijów bardzo się podobał, i obiecała później jeszcze i na dłuższy czas tutaj przyjechać.

Początkowo obywatele miasta chcieli urządzić straż honorową ale zamiar ten nie przyszedł do skutku. Zauważono, że car traktował jenerał-gubernatora dość chłodno.

Z okazyi pobytu cara w Kijowie posypały się z carskiej ręki znowu ordery i odznaczenia, z których niektóre wymieniamy: Jenerał gubernator kijowski hr. A. P. Ignatiew, mianowany członkiem Rady państwa z pozostawieniem w godności jenerał-gubernatora. Dowodzący wojskiem kijowskiego okręgu wojskowego M. I. Dragomirow otrzymał order św. Włodzimierza I klasy. Żona jenerał-gubernatora hr. S. S. Ignatiewowa mianowana damą orderu św. Katarzyny mniejszego krzyża. Godność kamerjunkra dworu otrzymał hr. Tyszkiewicz, właściciel ziemski z gubernii kijowskiej. Panny: Anna Krasnokucka, księżniczka Marya Jaszwilówna, Elżbieta Skoropacka i Aleksandra Hudim-Lewkowiczowa otrzymały tytuły frejlin dworu.

Agent emigracyjny. Z prowincyi piszą: „Świeżą siłą podtrzymującą ruch emigracyjny i wychodźtwo ludu naszego do zamorskich części świata jest niejaki M. Morawetz, (jak się sam tytułować raczy) „urzędownie uprawniony jeneralny expedient emigrantów w Hamburgu — Bergendorferstrasse Nr. 2." Spekulant ten obdarzył w ciągu zeszłego miesiąca naczelników gmin pow. samborskiego litografowaną odezwą, w której obok informacyi odnoszących się do kosztów i warunków podróży morskiej wyrażoną jest prośba o jak najenergiczniejsze popieranie go w przedsiębiorstwie, o którego intratności przekonać się mogą czytelnicy nasi z dosłownego tekstu dołączonej do tej odezwy kartki: „Za wysyłanie pasażerów wprost do mnie zł. 4 od każdej dorosłej osoby, od nieletnich połowę, od ssących nic". Otóż jeżeli na każdą osobę niessącą ów „urzędownie uprawniony" (?) naganiacz zobowiązuje się dostawcom żywego towaru wypłacać honoraryа w kwocie 4 zł., to ileż zyskiwać on musi na przedsiębiorstwie tem od stron, które go za pośrednika w tym handlu ludźmi używają? Zwracamy uwagę na karygodne machinacye tego Prusaka, który odważa się w naszym kraju prowadzić handel żywym towarem, sortując go poprzód odpowiednio do spodziewanego zysku, a raczej wyzysku na gromady okazów ssących i niessących".

W Milatynie powiatu lwowskiego odbędzie się 14 b. m. jako w uroczystość Podniesienia św. Krzyża doroczny odpust, na który przyrzekł przybyć JE. ks. arcybiskup Issakowicz. Gminy okoliczne przygotowują się na godne przyjęcie arcypasterza.

Skutkiem uderzenia piorunu wybuchł w Schodnicy pożar. Spłonęły trzy cysterny i jedna wieża.

Wściekły pies pokąsał dnia 7 bm. w Skolem 15 osób. Rannych odwieziono do szpitala powszechnego w Stryju.

Uniform dla prezydenta francuskiego. Dotychczas występował prezydent republiki francuskiej na wszelkich uroczystościach tylko w skromnym fraku, dziś w obec zbliżającej się wizyty carskiej uznała rada ministeryalna, że to nie wystarcza i że prezydent na przyjazd cara Wszechrosyi musi się okazalej przystroić Nowy strój galowy dla prezydenta miał według opisu *Figara* składać się z następujących części. Z kapelusza z białem piórem, jako symbolem naczelnego dowódzcy wojsk, z surduta skrojonego na sposób surdutów ambasadorskich z materyi błękitnej, z haftami złotymi i wyszywaniami liśćmi dębowymi, laurowymi i stokrótkowymi. Po obu bokach surduta francuski herb. Do tego biała haftowana szarfa, na której zwieszać się miała szpada Spodnie miały być tak samo haftowane jak surdut. Na wieczór ubierać miał prezydent nadto jeszcze kamasze z białego atłasu i trzewiki ze srebrnemi sprzączkami. Podobno zaczęto już szyć kostyum w Hawrze, a prezydent już go przymierzał i miało mu być w nim bardzo do twarzy. Ale w ostatniej chwili powstały skrupuły; obawiano się, aby prasa antirządowa, korzystając ze sposobności, nie rzuciła podejrzenia, że ten uniform jest — początkiem dyktatury. Tak tedy projekt uniformu dla prezydenta spełzł na niczem.

Jubileusz tytoniu może odbyć się r. b. Jakoż 1496 r. mnich hiszpański Roman Pano, który należał do wyprawy Krzysztofa Kolumba, poznał na wyspie Haiti, w okolicy, zwanej Tabago, roślinę tytoniową i pierwszy od krajowców dowiedział się o jej użytku. Początkowo przywożono tytoń do Europy jako lekarstwo, a potem wszedł w użycie w formie palenia i zażywania. Tym sposobem lat 400 już liczy ten nałóg, który jako nikotynizm należy niezaprzeczenie do klęsk ludzkości, szkodzących wielce zdrowiu i kieszeni.

Trąd. Lekarskie sfery są bardzo zaniepokojone rozszerzaniem się trądu w Europie. Pojawił się on już w Prusach zachodnich koło Kłajpedy, w Saksonii w Szlązku, nawet w Szwabii. W Dreźnie założono już specyalny szpital dla trędowatych. Najwięcej trędowatych w Europie przypada na Hiszpanię, Portugalię, Włochy i Turcyę oraz półwysep skandynawski. Tam przedsiębrane są wszelkie środki ochronne; wznoszone też są przytułki i szpitale dla trędowatych. Lecz istnieje w Europie kraj, pozostający w stosunkach z innemi, a zwłaszcza z Francyą, w którym ilość trędowatych znaczna, a nic się tam ku niesieniu im pomocy nie czyni. Krajem tym jest — Islandya, a rzec można, że jest on rozsadnikiem trądu w Europie. Podczas gdy w Norwegii jest 800 trędowatych, Islandya liczy ich — 400, to jest stosunkowo 11 razy więcej, albowiem ludność Norwegii wynosi 1,750.000 dusz, wówczas gdy ludność Islandyi zaledwie 75.000, czyli po 7 mieszkańców na 10 kilm. kwadratowych. Trąd udziela się głównie przez obcowanie; otóż w Islandyi, jak zresztą w wielu krajach o niskiej temperaturze, rodziny całe sypiają w jednem łóżku — chorzy razem ze zdrowymi, zakażając ich. Ciągłe stosunki portów islandzkich z krajami Europy rozpowszechniają trąd niechybnie. To też w ostatnich czasach zwrócono uwagę na to siedlisko strasznej zarazy. Leon XIII polecił wikaryuszowi apostolskiemu w Danii, mgr. d'Euch, utworzenie misyi w Islandyi. Wyspa ta, z wyjątkiem jednej rodziny katolickiej, wyznaje protestantyzm, to też głównem zadaniem misyi będzie niesienie pomocy trędowatym. Ponieważ przytułki dla tych nieszczęśliwych w r. 1848 skasowano, chodzi teraz o założenie nowych. Dotychczas drogą składek zebrano na ten cel 200.000 fr. zaledwie; zbiera je ks. Sweinsson, Islandczyk, profesor kolegium św. Andrzeja w Ordrupsko, w pobliżu Kopenhagi. Trzy Francuski, jedna Belgijka i jedna Dunka opuściły rodziny, udając się do Islandyi dla pielęgnowania trędowatych. Cierpienia tych nieszczęśliwych straszne i długie, można z niemi żyć po lat 40. Jest nadzieja, że przy odpowiednich środkach zaradczych klęska ta się zmniejszy.

Stan powietrza. T. o 9 rano + 10 R., w poł. +19 R. Bar. 764. Podnosi się. Pogoda.

Tramwaj elektryczny pod zarządem magistratu.

Konduktor: Odjazd!

Woźnica kręci korbą, dzwoni i oto wóz rusza.

Pasażer I klasy: Na miłość Boga, panie konduktorze, zatrzymaj pan wóz i pozwól mi wysiąść, (z rozpaczą) słabo mi się zrobiło!

Konduktor: Nie wolno, panie, nie wolno! *Vorschrift* zabrania zatrzymywać się nie na stacyach.

Wóz pędzi dalej. Chory pan, blady jak chusta, wysiada na najbliższej stacyi i znika.

Znowu komenda konduktora: Jazda! — Znowu woźnica dzwoni, kręci korbą i wóz rusza.

Wtem na skręcie ulicy staje jakiś pan, daje znak parasolem i oto wóz stanął jak wryty. Pan gramoli się do wozu — i jedziemy.

— Ciekawość! — mówi jeden z pasażerów — dlaczego teraz wóz się zatrzymał, kiedy przed chwilą konduktor powiedział, że nie wolno się zatrzymywać przed stacyą?

— Ba! Rzecz całkiem prosta — odrzekł drugi pasażer. — Tamten pan był całkiem zwyczajnym panem, zaś ten drugi, to pan magistracki!

Z teatru. Dziś we czwartek (wznowienie) „Niniche", wodewil w 3 aktach Hennequina i Najaca. W piątek „Komedyanci", komedya w 4 aktach E. Paillerona. Trzeci i przedostatni występ pani Heleny Zimajer-Rapackiej. W sobotę „Pierścień rodzinny", operetka w 3 aktach Audrana. Pierwszy występ pana Stanisława Jarońskiego, tenora operetki warszawskiej.

Dnia 8 b. m. odbył się w kościele OO. Zmartwychwstańców chrzest Stanisława Zygmunta Raszawskiego, syna Czesława i Sabiny Raszawskich. Rodzicami chrzestnymi byli hr. Helena Mierowa i Zdzisław Marchwicki. Po ukończonej ceremonii przyjmowała hr. Helena Mierowa w swoich apartamentach na śniadaniu wiele zaproszonych gości, z gościnnością staropolską.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** Pani Zimajer-Rapacka wystąpiła gościnnie na lwowskiej scenie w poniedziałek i we środę w dwóch znanych sztukach oryginalnych: „Nasze anioły" i „Harde dusze".

Jadzia w „Aniołach" p. Wołowskiego, przypominająca więcej sprytnego Lecoq'a, aniżeli pensyonarkę z poczciwego domu polskiego, z gruntu fałszywie nakreślona, już przez to samo nie może być popisową rolą, bo artystka na tle nienaturalnem i naciągniętem, zmuszona jest posługiwać się szablonem. Grze pani Zimajer-Rapackiej nic zarzucić nie można, ale też nie ma w tej roli ani jednej sceny, ani jednego momentu nawet, któryby dawał pole do istotnego popisu i tylko to chyba zanotować należy, że artystka opanowała ją rutyną i że mimo banalnych sytuacyi okrasiła swoim talentem i pewnym humorem, nie tyle płynącym z samej roli, ile z własnego natchnienia.

W tej wznowionej komedyi wystąpił w większej roli Amońskiego p. Nowacki, artysta świeżo zaangażowany z teatru poznańskiego i zdobył sobie odrazu na scenie lwowskiej szlify utalentowanego prawdziwie artysty. Grał nietylko dobrze, ale w stylu szlachetnym, co pomyślnie wróży o jego karyerze i przyszłości aktorskiej Obsada „Naszych aniołów" uległa pewnej zmianie. Pani Bednarzewska poważnie i z sympatyczną energią grała Irenę, a pan Feldman postać poczciwego teścia Heliodora ze szczerym komizmem i humorystyczną jowialnością. Reszta obsady pozostała ta sama z wyjątkiem pp. Lasockiej i Gromnickiej, które maleńkie role mężatek odegrały żwawo i poprawnie.

O „Hardych duszach" Sarneckiego i Orzeszkowej pisaliśmy już na tem miejscu obszernie, gdy po raz pierwszy ukazały się na naszej scenie Dziś pozwolimy sobie tylko nadmienić, że sztuka ta przerobiona, jak wiadomo, z powieści i w układzie posiadająca za mało jednolitości, jest tak dosadnym i wiernym obrazem życia zaściankowej szlachty litewskiej, tyle jest w niej scen rodzajowych, pięknych, jasnych i mimo realizmu, szlachetnego zresztą, poetycznych i tchnących obyczajową prostotą, że z chęcią dajemy rozgrzeszenie autorom za pewną rozwlekłość i melodramatyczność...

U nas wogóle „Harde dusze" świetnie są grane i musielibyśmy niemal cały afisz przepisać darząc każdego z artystów w główniejszych przynajmniej rolach zasłużoną zupełnie pochwałą. Powołując się więc na to, cośmy już dawniej o wykonaniu pisali, zniewoleni jesteśmy ograniczyć się do trzech ról, które wczoraj po raz pierwszy przez pp. Zimajer-Rapacką Ogińską i Chmielińskiego wykonane zostały.

Pani Zimajer-Rapacka grała rolę podlotka świetnie, z ogromnym wdziękiem, z finezyą i z pewną brawurą aktorską, która, gdy umiejętnie użyta, wlewa życie w postać blado stworzoną przez pisarza. Rolę tę może p. Rapacka istotnie zaliczyć do popisowych w swoim repertuarze.

Panna Ogińska grała Aurelkę. Jest to artystka młoda i początkująca, która nowicyat aktorski odbyła na poznańskiej scenie. Obdarzona powabną powierzchownością, dźwięcznym i miłym organem mowy, posiada szczery akcent w grze, dużo uczucia i naturalnej prostoty.

Pan Chmieliński grał Kuleszę w zastępstwie p. Fiszera i grał go z tą precyzyą, przenikliwą inteligencyą i starannością, któremi są nacechowane wszystkie kreacye tego niepospolitego artysty.

Iks Ypsylon.

Telegramy „Przeglądu".

Fiume 10 września. Przybył tu wczoraj król grecki.

Christiania 10 września. Nansen przybył tu wczoraj na pokładzie „Frama". Zgotowano mu wspaniałe przyjęcie. W porcie oczekiwało go 70 parowców, cały brzeg zaś roił się od tłumów. Wśród entuzyastycznych okrzyków, wjechał Nansen do miasta.

Gorycya 10 września. Przez całą drogę od Tarvis witała ludność prezesa gabinetu hr. Badeniego z wielkim zapałem. Na wyżynie Predilu oczekiwali go słoweńscy posłowie sejmowi, duchowieństwo, burmistrze i liczne tłumy, które wznosiły entuzyastyczne okrzyki „Zivio" na cześć rządu.

Wśród huku salw moździerzowych i nieustannych owacyi wjechał hr. Badeni do Flitsch, gdzie u bramy tryumfalnej oczekiwali nań burmistrz z całą radą miejską, duchowieństwo, weterani, naczelnicy władz i liczne zastępy ludności. We Flitsch spożył hr. Badeni obiad i wywiadywał się szczegółowo o stosunki krajowe, poczem żegnany serdecznie przez ludność odjechał do Gorycyi.

Do Gorycyi przybył o 10-tej wieczorem. Kapela powitała go hymnem ludowym, poczem odegrała serenadę przed jego mieszkaniem.

Brüx 10 września. Ubiegłej nocy znów zapadła się ziemia w kilku miejscach. Domy zamieszkałe nie są zagrożone Prowizorycznie wstrzymano ruch kolejowy, gdyż i na torze kolei osiecko-cieplickiej pokazały się szczeliny i wklęśnięcia gruntu.

Kopenhaga 10 września. Carstwo przybyli tu wczoraj w południe na pokładzie jachtu „Gwiazda polarna". Na placu lądowania oczekiwali ich królestwo duńscy, następca tronu z żoną i księżna Walii. Carstwo wylądowawszy pojechali przez bogato udekorowane ulice stolicy na zamek Bernsdorf.

Ateny 10 września. Wczoraj powrócili tu wszyscy oficerowie i podoficerowie, którzy zbiegli z szeregów i udali się na Kretę walczyć w szeregach powstańczych. Odprowadzono ich pod eskortą do aresztu. Mówią, że stawieni oni będą przed sąd cywilny, gdyż działali w spółce z osobami cywilnemi. Szesnastu z nich zawiadomiono, że zapadł przeciw nim wyrok śmierci. Wyrok ten wykonany zostanie w forcie Catamidi w Nauplu.

Opawa 10 września. Wczoraj odbyły się na Szlązku wybory dziewięciu posłów do sejmu z kuryi gmin wiejskich. W okręgu opawskim, jägerndorfskim, cieszyńskim, frydeckim i bielskim wybrano dotychczasowych posłów. Okręg Freudenthal wybrał narodowca niemieckiego Edwarda Türka, a w okręgu frywaldzkim zwyciężył przy ściślejszym wyborze narodowiec niemiecki Grams przeciw dotychczasowemu posłowi liberałowi Müllerowi. Liberałowi stracili jeden mandat, który dostał się narodowcom niemieckim. Polacy i Czesi utrzymali dawne mandaty. Polacy wybrali ks. Świeżego, Cienciałę i Michejdę.

HOTEL ŻORŻA

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 9 września. R ks. Puzynina z Narola. N. Kieszkowska z Łuki. M. Lipska z Wołynia. R. Grocholski z Rożysk. Wł. Gniewosz z Kontów. St. Moysa z Rudnik. Wł. Dembowski z Siar. A. Wiszniewski i A Witkowski z Plichowa. W. Jasiński z Olszanicy.

Wiedeń 10 września. Notowania wieczorne Kredyty 378·12, węgierskie kredyty 415·50, anglobank 158.50, bankverein 267·—, unionbank: 307·00, länderbank 25[illegible]·—, staatsbahny 374·37, lombardy 104·50, elbethale 275.75, akcye tytoniowe 166.50, rima 248.50, alpiny 89·00, renta majowa 101·75, węg. renta koronna 99·55, losy tureckie 51·80, marki 58·65, ruble 127.25.

12)

SERCE ZA SERCE

POWIEŚĆ

przez

Autora „Fałszerza“.

(Ciąg dalszy).

Henryk ukrył twarz w dłoniach, przygnębiony tą wielkoduszną wspaniałomyślnością.

— Matko, upokarzasz mnie twoją dobrocią — wyszeptał. — Nie ośmieliłbym się nigdy po tem, co uczyniłem, powrócić do ciebie...

Lecz ona z mocą położyła mu dłoń na ramieniu.

— Powrócisz — rzekła i jeszcze zajaśnieją dla nas obojga dni pogodne.

Henryk milczał posępnie.

Tego samego rana, po gwałtownej sprzeczce, wyzwał był na pojedynek dawnego swego towarzysza wstrętnych zabaw, Alberta de Verlier. Od tego spotkania zależało niby ocalenie resztek jego honoru. Gdyby się cofnął, napiętnowanoby go stygmatem hańby. List, który pisał, gdy matka wstępowała w progi jego stancyjki, zawierał pożegnanie na wypadek śmierci. Wywołanie w takiej chwili błogich wspomnień dni dzieciństwa, spotęgowało całą gorycz, nagromadzoną na dnie jego serca.

— Milczysz? — spytała matka. — Czyżby to piekło, w którem żyjesz, nęciło cię jeszcze?

Chmura niepokoju przysłoniła czoło marnotrawcy. Twarz jego przybrała wyraz wielkiego cierpienia i gniewu.

— Nie mogę! — wybuchnął nagle. — Nie mogę wracać z tobą, matko! Muszę się zemścić! Łotr ten, który krew mi wyssał z serca, krwią za nią zapłacić musi!

W tej chwili oczy pani de Tremaliene z przerażeniem padły na szkatułkę z pistoletami.

Zrozumiała wszystko.

— Chcesz się pojedynkować?! — jęknęła boleśnie, słaniając się z bólu.

Nawpółprzytomny, Henryk, oddychając ciężko, odsunął się na krzesło.

— Dziecko moje!... To szaleństwo! To być nie może! — wołała zrozpaczona kobieta, załamując ręce.

— Czy słyszysz? Odpowiadaj mi!

Henryk ruchem niewysłowionego znużenia potrząsnął głową.

— Muszę — odrzekł przez zaciśnięte zęby. — Tu chodzi o mój honor. Dość mi było tych szyderstw, tych zniewag... Wypoliczkowałem Alberta de Verlier.

— A dusza twoja, synu... dusza nieśmiertelna? Czyż o niej zapomniałeś? — spytała matka. — Czemże jest znikomy honor twój wobec zbawienia, na którego utratę narażasz się? Czyż wszystko, czego uczyłam cię dzieckiem, puściłeś już w niepamięć? Czyż godzi się rękę morderczą podnieść na bliźniego?!

Henryk milczał zacięcie, gdy nagle głośny wybuch ulicznej wrzawy dobiegł go z ulicy.

Zabawa kwiatowa przesuwała się tuż pod oknem hotelu, a w szeregu wspaniale przystrojonych powozów odznaczał się jeden, wytwornie przybrany białemi, pachnącemi bzami. W pośrodku nich, tonąca wśród kwiatów, nawpół leżała postać niezwykle pięknej kobiety o pozłocistych, jak promienie słoneczne, włosach, wymykających się z pod białych, strusiowych piór kapelusza. Powłóczystem spojrzeniem zielonawych oczu i zalotnym uśmiechem odpowiadała na skierowane w swą stronę półsłówka młodego jeźdźca, siedzącego na śliczmym arabczyku. Tuż za tym młodzieńcem toczył się powóz, w którym jechało kilku młodych ludzi, rozrzucających dokoła wśród głośnych śmiechów snopy kwiatów. Henryk, patrząc z góry, poznał w nich dawnych towarzyszy. Wzrok jego błyskawicą nienawiści objął królowę białych bzów i świetnego jeźdźca, przenosząc się następnie na grono rozbawionej młodzieży.

Tak, to oni byli przyczyną jego zguby...

Zgrzytnął zębami, a fala gniewu, goryczy i zawiści uderzyła mu nanowo do serca.

Ci, którzy tak niedawno ściskali go przyjaźnie, ucztowali u jego stołu, czerpali z jego kieszeni, teraz wiedząc, że on szaleje z rozpaczy, zabawiali się w najlepsze.

I ta, na kwiatach spoczywająca kobieta, o złotych warkoczach i szmaragdowem spojrzeniu, w którem niegdyś niebo szczęścia widział dla siebie, u której stóp złożył serce swoje w bałwochwalczej ofierze, dziś miała uśmiech dla jego rywala, który jutro może położy go trupem.

Taka bezmierna boleść i zniechęcenie wybiły się na twarzy Heryka, że matka, zdjęta głęboką litością, ujęła chłodne jego ręce i rzekła:

— Henryku!... biedne dziecko moje!...

Chciał coś odpowiedzieć, ale słowa uwięzły mu w zaschniętem gardle i nagle wybuchnął głośnem, niepowstrzymanem łkaniem.

— O, biedne dziecko! — mówiła dalej pani de Tremaliene — Bóg dopuścił na nas tę ciężką próbę, aby cię przywrócić do opamiętania. Zakosztowałeś całej goryczy zwątpienia i obojętności ludzkiej, poznałeś całą znikomość rzeczy tego świata. Zwróć się więc ku lepszym, wyższym celom życia.

On przerwał jej, łkać nie przestając:

— Puść mnie matko! Wszystko już stracone. Życie nie ma dla mnie żadnej wartości. Chcę się tylko zemścić... zemścić krwawo nad tym, który mi miłość jej odebrał. Nienawidzę go... nienawidzę ze wszystkich sił duszy... Zapłaci mi za to ostatnią kroplą krwi swojej!... Zabiję go... zabiję... a potem sam w łeb sobie palnę!

Okrzyk rozpaczy, głośny, beznadziejny, rozdzierający wydarł się z piersi matki. Padła przed synem na kolana, ale on, niezdolny znieść dłużej widoku jej bólu, jak oszalały, wybiegł z pokoju. Ona zachwiała się i z cichym jękiem opadła na podłogę. Gdy po długiem omdleniu przyszła do siebie, z razu nie mogła zrozumieć, co się z nią stało i gdzie się znajduje. W końcu pamięć przywróciła jej całą grozę położenia. Dowlokła się do kanapy i usiadła, nieruchoma, pozbawiona czucia i władzy myślenia. Tak zastał ją Robert, gdy w parę godzin przyszedł, zaniepokojony jej długą nieobecnością.

— To ty, Robercie? — zapytała, budząc się, jakby ze snu przykrego. — Nie mogłam zapobiedz nieszczęściu. Jutro mój syn ma się pojedynkować...

Potem błędnemi oczyma rozglądając się dokoła, dodała:

— Ciemno się robi... Czyżby to już wieczór?

Wskutek silnego wzruszenia straciła zupełnie miarę czasu.

XI.

Henryk, rozstawszy się z matką w sposób tak okrutny, udał się do strzelnicy. Tam codziennie zbierała się złota młodzież, ćwicząc się w zręczności władania bronią. Sala popisowa, o wysokich oknach, przyozdobionych posągami średniowiecznych rycerzy, pustą była o tej spóźnionej porze. Na ścianie wisiały trofea najcelniejszych szermierzy, między innemi karton z punktem, wystrzelonym pośrodku. Pod spodem widniał napis: Siedem razy z rzędu trafiony przez Alberta de Verlier.

— A! — pomyślał Henryk — będę miał groźnego przeciwnika. Zrobił postępy w sztuce strzelania.

Mówią to, wzruszył obojętnie ramionami.

— Tem lepiej, jeżeli mnie zabije — dodał. — Co mi dziś po życiu!...

Pojedynek miał się odbyć nazajutrz. Warunki ściśle zostały określone przez sekundantów, a były one tego rodzaju, że najodważniejszy zawahałby się przed niemi.

Henryk, ćwicząc się gorączkowo, wpakował kilka kul do tarczy. Rysy jego, kurczowo ściągnięte, nie rozchmurzyły się ani na chwilę.

Rzucił pistolet. Czem zajmie resztę dnia?

Na końcu ogrodu, okalającego strzelnicę, ciągnął się taras, z którego rozległy roztaczał się widok. W odstępach poustawiane były ławki marmurowe, a białe posągi bóstw mitologicznych wychylały się z klombów i zieleni. Po za ogrodem ciągnęło się piaszczyste wybrzeże morskie, o które odbijały się fale z cichym, jednostajnym szumem. Wszystkie okręta, łodzie i łódki spacerowe, ślizgające się po gładkiej, modrej toni, przybrane były różnobarwnemi flagami. Tłum gwarny, wesoły, rozbawiony, snuł się zewsząd, napływając coraz to silniej zwartą falą, a gdy zmrok zaczął zapadać, tysiące sztucznych świateł zabłysły w powietrzu. Henryk patrzył, jak przez sen, na tę powódź blasków. Jasność biła zewsząd, tylko w jego duszy panował cień grobowy, jakby już nigdy nie miał oglądać tego słońca, które jutro, w majestacie z purpury i złota, wstanie z za szczytów gór.

Tarasy i balkony zapełniały się widzami. Na ulicach także ścisk był ogromny. Dziewczęta, obciążone wonnem kwieciem, kręciły się wśród przechodniów. Harfy i skrzypce rozbrzmiewały w powietrzu, a młodzież, paląc cygara, przysłuchiwała się koncertowi wędrownych grajków.

Henryk nic nie widział i nic nie słyszał. Oczy jego, utkwione gdzieś, w przestrzeni — paliły się ogniem zawziętości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka (Hotel Żorża). Zarządca W. Hodak.